

Wielki Duch widząc wiele nieładu wśród dzieci Matki Ziemi – walczących między sobą – przygotował im szczególny dar. Wziął tęczę, uczynił z niej derkę i rozciągnął na preriach Matki Ziemi. Potem złączył westchnienie wiatru, głos grzmotu, jasność porannej gwiazdy, ciepło letniego słońca, czystość jesiennego nieba, głębię wielkiego morza, giętkość młodych drzewek, moc potężnego dębu, wzrok orła, wytrzymałość niedźwiedzia, mądrość długich lat i wielkie milczenie nieba. Ze wszystkich tych rzeczy Wielki Duch utworzył czterdziestu czterech wojowników tęczy. Każdemu z nich dał szczególną tarczę. A ponieważ tarcze te mogły przebić ciemności i odpędzić strach, zostały nazwane świętymi tarczami duchowego uzdrowienia. Teraz owi wojownicy, nazwani wodzami pokoju, wyruszyli w czterech kierunkach, aby zwalczać strach, ignorancję i oszustwo... aby zwalczać czterech wojowników ciemności.



JAK TO Z NAMI JEST

Kiedy dwa lata temu przygotowaliśmy do druku wypowiedź Orena Lyonsa, otwierającą Międzynarodowy Rok Ludów Tubylczych Świata („Tawacin” 1[21], 1993), nie przypuszczaliśmy, że wydarzenie to będzie miało ciąg dalszy. Oto 9 grudnia 1994 roku Zgromadzenie ogólne ONZ ogłosiło Dekadę Ludności Tubylczej Świata 1995-2004. To bezprecedensowe wydarzenie świadczy bardzo wyraźnie o wielkiej sile tubylczych kultur, które przetrwały mimo wielowiekowego niszczenia, a także o sensie działalności wielu grup poparcia na rzecz tubylców. Proponujemy zapoznanie się z założeniami ogólnymi Dekady opatrzonymi komentarzem Romana Bali. Do tematu tego będziemy na łamach „Tawacinu” niejednokrotnie jeszcze wracać pamiętając, że także od naszego zaangażowania zależą ostateczne osiągnięcia Dekady.

Oprócz tego w wiosennym „Tawacinie” piękna legenda o pauniskim bohaterze odsłaniająca przed Czytelnikiem nieznaną i jakże odmienną od stereotypów świat wzajemnych kontaktów międzyplemiennych. Z kolei esej o Billym Caldwellu pokazuje zawężenie relacji politycznych między plemionami indiańskimi i poszczególnymi nacjami białych. Historia nigdy nie była jednoznaczna i mylą się ci wszyscy, którzy ją upraszczają.

Piszemy to wszystko w zastępstwie redaktora naczelnego, który zajęty jest przygotowaniami do wstąpienia na ścieżkę wspólnoty małżeńskiej. Agnieszce i Niedźwiedziowi życzymy spełnienia.

Redakcja



Ukazuje się: w marcu, czerwcu, wrześniu, i grudniu **Redaguje zespół:** Wiesław Karnabal (redaktor naczelny), Marek Maciołek i Marek Nowocien **Stale współpracują:** Roman Bala, Marek Cichomski, Maciej Lewandowski, Aleksander Sudak i Mirosław Sulgostowski **Adres redakcji:** Dąbrowa, ul. Szkolna 9, 62-069 Pałędzie **Wydawca:** TIPI ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo **Druk:** Usługi Poligraficzne „WI-MARK” ul. Czeresińska 10, 62-800 Kalisz

W tym numerze:

Nie potrafię żyć bez piękna - o pięknie i mistycyzmie w sztuce tubylczych Amerykanów

Legendy Paunisów. Opowieści o bohaterach: Wódz Komanczów – Ten Który Czyni Pokój

Tarcza wojenna – najcenniejsza i najpotężniejsza część majątku wojownika Równin

Billy Caldwell na wygnaniu w Starym Chicago – prawda o Sauganashu, półkwi Mohawku, który został wodzem Potawatomich – esej historyczny pióra Jamesa A. Cliftona

DEKADA LUDNOŚCI TUBYLCZEJ

Założenia ogólne

Organizacja Niemocy Zorganizowanej – komentarz Romana Bali

Ludom tubylczym na pomoc – wywiad z Angelą Warsitz

Ruminavi – fragment nie publikowanej powieści Marii Janiny Okoń i Longina Jana Okonia

Na szlakach wielkich wojen – artykuł Waldemara Kuligowskiego o udziale Indian w wojnach na obcych frontach

Kanada: serwis informacyjny

Robbie Robertson i jego *Muzyka dla tubylczych Amerykanów*

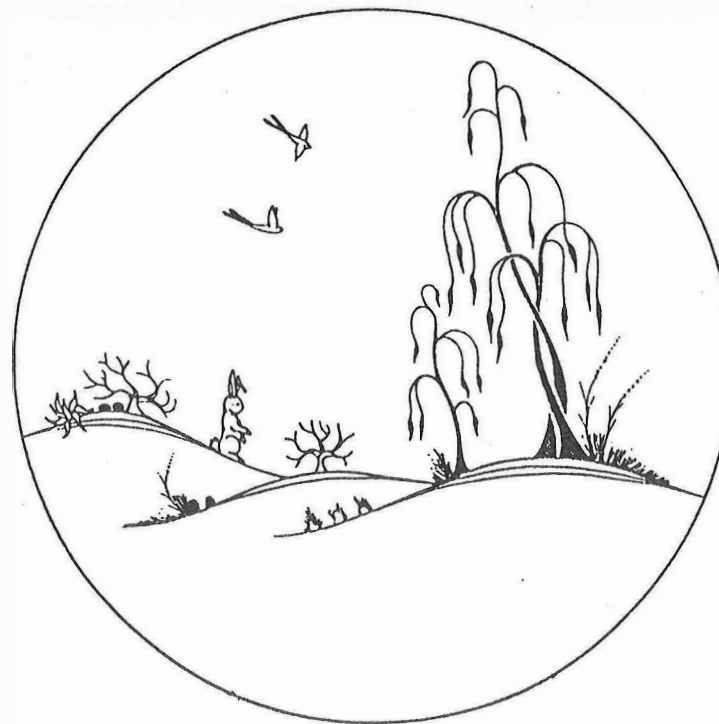
„Wyraźny motyw” Bugajskiego – filmowa recenzja Marka Cichomskiego

Ponadto stałe rubryki: **zrób to sam, komiks, znane i nieznanne, listy, zwierzenia Cienia i książki**

Uwaga: na stronie 43 informacje o XIX Zlocie Przyjaciół Indian

Na okładce: Tarcza wojenna. Rys. Niedźwiedź

Podziękowania: Przemysław Bartuszek, Tomasz Chodorowski, Wojciech Dziadkiewicz, Krzysztof Janiak, Monika Kępska, Wiesław Kołeczek, Magdalena Lasocka, Katarzyna Małota, Stefan Mula, Andrzej Pankalla, Piotr Pietrzak i Janusz Wencel.



NIE POTRAFIĘ ŻYĆ BEZ PIĘKNA

Nie potrafię żyć bez piękna. Piękno opływa kosmos i tworzy życie. Mój świat składa się z symboli, dzięki którym docieram do piękna.

Mój dom jest okrągły, odpowiada kręgowi ciągłości narodów. Nasze stare domy składały się z ziemi, wody, kamienia, drewna, kory i skóry. Budowałem je wzorem przodków – z szacunkiem do czterech kierunków, wschodzącego słońca, ukształtowania terenu, plemiennych wędrówek, czyli w pokrewieństwie do wszystkich rodów, klanów i grup.

Sercem każdego domu jest płonący ogień, uświęcony przez swą życiodajną wartość. Bez niego dom jest niepełny. Ogień w każdym domu to widzialne bicie serca narodu, które raz przygasa, to znów wybucha nowymi płomieniami. Z tych najdawniejszych domów i świętych ogní wszystko wzięło początek. Z ognia emanuje światło i życie.

Później ludzie sięgnęli wzrokiem poza swe domy i ognie, i zobaczyli coś nieskończenie więcej niż świat materialny. Zobaczyli, że królestwo ducha to kryształowe zwierciadło kosmosu. To, co widoczne odbija istotę rzeczy niewidocznych w świecie materialnym. Do tego królestwa mistycznych obrazów można wejść poprzez sny, rytuały i obrzędy albo przez bezpośredni kontakt z rzeczami namacalnymi. Sny przychodzą z kosmiczną siłą przyprowadzając do mnie duchy czyli symbole, albo z kolei wyprowadzają ducha ze mnie, abym mógł się więcej dowiedzieć. W rytuałach i obrzędach narody pokazują mi duchy dosłownie i w przenośni. Czasami więc wstępuję do tego królestwa jako źródła. Słyszę ducha wiatru. Widzę ducha pewnej istoty. I mój duch wlatuje!

W duchowym królestwie zgromadzona jest moc. Unosi się swobodnie jak wirujące mistyczne światło czy mgła, ale także przybiera formy wszystkich duchowych rzeczy. Szukanie mocy znaczy szukanie duchów. Poprzez duchy przychodzi moc. Szukanie mocy to stapanie własnego duchowego ja z Innym, a także przekraczanie wszystkich granic materialnego świata.

W poszukiwaniu mocy nie wędruję samotnie. Mam opiekunów i pomocników z obu królestw kosmosu, którzy mi towarzyszą. Z fizycznego świata mam ogień i fetysze niedźwiedzia, pumy i wilka. Duchy przodków niosę w łuku i kamiennych grotach strzał, i w prastarych modlitwach. Ze świata snów noszę barwy ochronne i symbole – czerwone pasy na twarzy i piersiach odpowiadające życiowości krwi w każdym z nas; czarną płócioramienną gwiazdę na plecach wskazującą kierunek i źródło moich snów.

Z tymi symbolami moich opiekunów i pomocników wstępuję w namacalny świat, żeby zlokalizować miejsce duchów i moc, której szukam. Czekam wyczulony na wszystko i na ciszę, która mnie otacza. Tylko chmury przetaczają się nad gwiaz-

dami w burzliwych kłębach. Powietrze staje się ciężkie i wilgotne, z chmur wypada strumień światła, prosto na mnie. W świetle błyskawicy czerwony pasy na mej piersi nabierają innej barwy. Białe, gorące płoruny rozdzierają noc wokół mnie i ziemię u moich stóp! Jeden pada za blisko i czerń gwiazdy na moich plecach zwała mnie z nóg.

Wstępuję w ciemność mego umysłu i widzę siebie leżącego na ziemi pod żywym światłem chmur. Duchy w grzmocie skaczą na mnie i biegną, po czym szybko wracają. Kiedy się budzę, tylko to pamiętam. Niebo jest obmyte do czysta i pełne gwiazd, srebrny księżyc rozlewa się nade mną. U mego boku ogień płonie jaskrawo kojąc mi umysł i osuszając mokre włosy. Czuję magiczne poruszenie fetyszy w zawiniątku, jakie mam pod pachą. Teraz wiem, czym są Istoty Grzmotu, podobnie i one wiedzą, kim i czym ja jestem.

Kiedy życie dobiega końca w świecie fizycznym, duch człowieka porusza się w wielkim kręgu nieskończoności, gdzie wszystkie duchy stanowią Jedno. To dlatego pozdrawiamy wszystko w kosmosie jako swoich krewnych, jako przodków, naszych wiecznych rodziców, którzy w swoich snach wydali nas na świat. To dlatego nigdy nie jestem sam. Ziemię nazywam matką, a niebo – ojcem; woda jest babcią, a ogień – dziadkiem. Jestem istotą kosmiczną i moim domem jest nieskończoność.

To dzięki symbolom moim i mojego świata jestem znany. To dzięki tym prastarym symbolom się urodziłem. Moich przodków można zobaczyć o świcie; ja widzę ich wszędzie. Wołają mnie do siebie i jako ich dziecko – wstępuję w piękno.

Tłumaczenie Marek Maciołek

The Spirit of Native America. Beauty and Mysticism in American Indian Art by Anna Lee Walters. Chronicle Books. San Francisco 1989.

JOY HARJO

Wiersz z orłem

Do modlitwy otwórz się cały
Na niebo, na ziemię, na słońce i księżyc
Na cały głos, którym jesteś.
I wiedz, że jest coś ponadto,
Czego nie widzisz, nie słyszysz
I nie znasz, może tylko w chwilach
Wielkiego uniesienia i w językach,
Które nie zawsze są dźwiękiem ale innymi
Sferami krążenia.
Jak orzeł w niedzielę rano
Nad rzeką Salt. Krążył na wietrze po błękitach
Nieba i wymiół nam serca do czysta
Świątymi skrzydłami.
Widzimy cię, widzimy siebie i wiemy
Że musimy okazać najwyższą troskę
I dobroć we wszystkim.
Westchnij wiedząc, że jesteśmy
Z tego wszystkiego, westchnij wiedząc,
Że prawdziwie błogosławieni jesteśmy gdyż
Urodziliśmy się i umrzemy niebawem wewnątrz
Prawdziwej sfery krążenia,
Jak orzeł szybujący w nas
Tego ranka.
Składamy modły, by stało się to
W pięknie.
W pięknie.

z tomu *In Mad Love and War*

JOY HARJO – poetka Krik (Creek). Jej twórczość przedstawimy szerzej w jednym z następnych numerów „Tawacinu”. Wiersz przełożył Marek Maciołek.

Wódz Komanczów Ten Który Czyni Pokój



Wiele lat temu żył w wiosce Skidi Paunisów młody, szesnastoletni mężczyzna. Nazywał się Jastrząb, Kutawikutz. W tych czasach Paunisi nosili włosy obcięte tak jak Osejdzowie – golili całą głowę z wyjątkiem grzebienia biegnącego od czoła do tyłu głowy, przechodzącego w lok skalpowy.

Na południe wyruszyła wyprawa wojenna i młodzieniec dołączył do niej jako posługujący. Wędrowali bardzo długo i daleko, ale nie zdobyli koni i ostatecznie wrócili do rodzinnej wioski. Niedługo potem inna grupa wstąpiła na wojenną ścieżkę i Jastrząb znowu do nich dołączył. Przez wiele dni szli na południowy zachód, aż natknęli się na obóz Komanczów. Paunisi ukryli się i czekali do zmroku.

Gdy wreszcie nadeszła noc, wszyscy weszli do obozu, żeby ukraść konie. Jastrząb zbliżył się do domu, przy którym stały trzy konie – dwa z nich były nakraplane, a jeden siwy. Były przywiązane u wejścia do tipi i młody Paunis pomyślał, że muszą być szybkie, gdyż wśród plemion Równin najlepsze konie zazwyczaj pętano blisko domu, gdzie można je było łatwiej upilnować. Jastrząb podszedł do tipi, aby przeciąć sznury i gdy już, już miał to uczynić, usłyszał nagle jakiś szelest w tipi. Przywarł do ściany, ostrożnie zajrzał do środka przez szparę pomiędzy tipi, a drzwiami i ujrzał małe ognisko. Po jego przeciwnej stronie siedziała młoda dziewczyna i czesała długie włosy.

Młodzieniec powiodł wzrokiem po wnętrzu, by zorientować się, kto jeszcze się tam znajduje i zobaczył jedynie starego mężczyznę z równie starą kobietą oraz człowieka dbającego o ognisko. Odciał dwa nakraplane konie, przeprowadził je przez obóz i spotkał jednego ze swych towarzyszy, do którego rzekł:

– Teraz, bracie, weź te konie i udaj się z nimi na wzgórze, na którym schowaliśmy się dzisiaj i czekaj tam na mnie. Widziałem jeszcze jednego konia, którego chciałbym zabrać, wróć po niego i spotkamy się na wzgórzu jeszcze przed świtem.

Zawrócił jakby szedł po konia, ale udał się do tego tipi, w którym widział dziewczynę. Obszedł je dookoła i dokładnie obserwował. Zauważył, że są na nim ptasie pióra i wiele racic, które grzechotały na wietrze, a do jednej z tyczek przywiązany był bizoni ogon. Później ponownie podszedł do drzwi i jeszcze raz spojrzął na dziewczynę. Długo tak stał tej nocy, wpatrując się w nią. Rankiem zaczął szukać swego towarzysza. Gdy go znalazł powiedział mu, że ktoś zabrał konie przed nim i już nie mógł go znaleźć. Gdy następnego ranka spotkała się cała grupa, stwierdzili, że teraz mają dużo koni i udali się na północ, do domu. Gdy dojechali do rodzinnej wioski, wszyscy byli zadowoleni z ich sukcesu.

Od tej pory Jastrząb, gdy tylko zobaczył coś ładnego, jak na przykład medale, kol-

czyki, pierścionki dla kobiet, leginy wyszywane korallikami – rzeczy, których Koman-cze nie znali – kupował je, płacąc końmi. Przez cały rok postępował w ten sposób, a po roku nie miał już koni, wydał je wszystkie w zamian za owe prezenty. Zapakował je wszystkie w tobolek i pewnej nocy rzekł do przyjaciela:

– Chcę ponownie udać się na wojenną ścieżkę i chciałbym, abyś mi towarzyszył. Pójdziemy tylko we dwójkę. Przyjaciół zgo-dził się.

II

Zanim wyruszyli, inni młodzi ludzie do-wiedzieli się o wyprawie i kilku z nich dołączyło do dwójki przyjaciół. Było ich teraz ośmiu, a Kutawikutz był ich wodzem. Powiedział, że idą do miejsca, w którym jest pewien, że znajdzie mnóstwo koni. Wyruszyli pieszko i po wielu dniach, dotarli do miejsca, gdzie stał obóz, w którym Jastrząb zobaczył dziewczynę. Ale teraz obo-zu tu nie było.

Poszli więc dalej, aż znaleźli obóz, a że był jeszcze dzień, więc się ukryli. Gdy zapadła noc, wódz kazał swoim ludziom pozostać tam, gdzie się ukryli i powiedział, że sam pójdzie do wioski zobaczyć, czy są konie. Przeszedł cały obóz, szukając tipli, w którym widział dziewczynę, ale nie znalazł. Wrócił więc do swoich ludzi i powiedział im, że nie jest to ten obóz, którego szukali i nie ma tu koni takich, jakich szukają. W tamtym obo-zie było wiele pięknych, cętkowanych koni.

Młodzi mężczyźni nie rozumieli tego i pa-ru z nich nie chciało odejść bez koni, ale to Jastrząb był wodzem i musieli go słuchać. Ruszyli więc dalej.

Po paru dniach znaleźli drugi obóz, ale sytuacja powtórzyła się, więc szli dalej.

Gdy byli już blisko gór, zobaczyli jeszcze jeden obóz. Jastrząb sam wszedł do środka, a gdy wrócił, powiedział, że to jest właśnie obóz, którego szukali. Wtedy wszy-sczy młodzieńcy przeszli do obozu po konie, a Jastrząb ubrał piękne leginy oraz moka-syny, pomalował swe ciało i udał się wraz z nimi. On i jego przyjaciel zabrali po jed-

nym koniu i spotkali się na zewnątrz wioski. Jastrząb kazał mu dostać konia i poprowa-dzić towarzyszy do pewnego miejsca i tam na niego zaczekać.

– Widziałem jeszcze jednego, bardzo pięknego konia – rzekł – i chciałbym po niego wrócić.

Przyjaciół spojrzeli na niego smutno i za-pytał: – Dlaczego jesteś tak ubrany i dla-czego masz pomalowaną twarz? Co ty ro-bisz albo, co zamierzasz zrobić? Może chcesz dokonać czegoś wielkiego dzisiaj w nocy i nie chcesz, abym ja, twój przyjaciel wiedział o tym. Od dawna widzę, że coś przede mną ukrywasz.

Jastrząb objął swego przyjaciela, uści-skał i pocałował, a następnie odrzekł:

– Jesteś moim przyjacielem, ktoś jest mi bliższy od ciebie? Zrób tak jak powiedziałem, a jeżeli się uda, wszystko ci opowiem. Dogonię cię niedługo.

– Nie – odparł przyjaciel. – Zostanę z tobą i nigdzie się nie ruszę. Kocham cię jak brata i zostanę z tobą, a jeżeli chcesz do-konać czegoś wielkiego, zginię wraz z tobą.

Gdy Jastrząb stwierdził, że jego przyja-ciel zdecydowany jest zostać z nim, ustąpił i wyjawiał swój sekret.

– Mój bracie, gdy rok temu byliśmy na wojennej ścieżce i zabrałem te dwa konie, usłyszałem w tipli, przy którym były przy-wiązane, jakiś szelest. Zajrzałem do środka i zobaczyłem dziewczynę, siedziała przy ognisku i cesała sobie włosy. Była bardzo piękna. I nawet, gdy już zabrałem te konie, nie mogłem wyrzucić jej obrazu z pamięci. Pamiętałem ją. Bracie, gdy wróciliśmy do domu, ona ciągle była w moich myślach. Nie mogłem jej zapomnieć. Przyszedłem tu, bo postanowiłem zabrać ją, nawet gdyby miało mnie to kosztować życie. Ona jest w tym obozie, znalazłem jej tipl.

– Mój bracie – stwierdził przyjaciel – cokolwiek powiedziałaś, niech się tak sta-nie. Zostaję z tobą. Idź do domu, ja wezmę konie, ukryję je i udam się na to wysokie skaliste wzgórze, po wschodniej stronie obozu. Gdy ty będziesz w wiosce, ja z drze-wa na szczycie tego wzgórza będę je obser-wował. Jeżeli usłyszysz strzały i zobaczę wie-

lu ludzi biegących do tego tipli, będę wie-dział, że nie żyjesz i zabiję się. Nie wrócę sam do domu. Jeżeli nie wrócisz do połud-nia, także się zabiję.

– Dobrze – powiedział Kutawikutz. – Je-żeli poszczęścił mi się, przyjdę i zabiorę cię do obozu.

Rozdzielił się, przyjaciel ukrył konie i udał się na wzgórze, a Jastrząb wszedł do wioski.

III

Był środek nocy. Kiedy Jastrząb podszedł do tipli, spostrzegł, że wewnątrz jeszcze pali się ognisko. Nie wszedł więc od razu, ale czekał aż ognisko wygaśnie. Stał koło tipli, a ogień stopniowo i powoli gasł, aż w końcu w tipli zrobiło się ciemno. Wszedł więc do środka, pięknie ubrany i pomalowany, w ręce trzymając swój tobolek. Zdjął mokasy i le-giny, i powiesił je nad posłaniem dziewczyny, potem pozawieszał sznury korallików, pięć lub sześć medali, bransoletki, kolczyki, leginy wyszywane korallikami, wszystko, co miał – na końcu swoją koszulę. Wyjął swój koc, rozłożył go za miejscem, na którym leżała dziewczyna, przeszedł nad jej legowiskiem i położył się tuż koło niej.

Kiedy się kładł, dziewczyna zbudziła się i odkryła, że ktoś koło niej leży. Zaczęła do niego mówić, ale on nie odpowiadał. Mówi-ła tak przez dłuższy czas, a mężczyzna milczał. Dopiero, gdy dziewczyna położyła rękę na jego głowie stwierdziła, że to *Pita-da*, Paunis, wróg! Szybko rozpalila ogni-sko, rzucając na nie garść suchej trawy. Ognisko zaczęło płonąć i w jego świetle dziewczyna zobaczyła Jastrzębia. Zerwała się i wzięła koc leżący za łóżkiem, a był to jego koc, i okrywając się nim, usiadła koło ogniska, budząc ojca.

– Ojcie, obudź się. Jest tutaj jakiś mę-zczyzna.

Starzec obudził się, włączył fajkę i zaczął palić. Był to główny wódz wszystkich Ko-manczów. Wezwał służącego i kazał mu rozpalic ognisko. Tymczasem dziewczyna podniosła się i obudziła matkę i wszyscy razem usiedli przy ogniu.

Stary mężczyzna długo palił fajkę, co ja-kiś czas spoglądając, kogo to może leżeć w łóżku. Patrzył na rzeczy wiszące nad lego-wiskiem, zdumiewały go, gdyż nie wiedział, do czego służą. Wreszcie kazał niewolnikowi wezwać do tipli wodzów plemienia.

Niebawem wodzowie, jeden po drugim, zaczęli się schodzić. Gdy już się zeszli, okazało się, że brak jednego wojownika, który miał przyjść. Nazywał się Skórzana Koszula, a ojciec dziewczyny chciał, by był obecny. Posyłał po niego trzy razy, ale on odpowiadał, żeby obradowali bez niego, a on zgodził się na wszystko, co postanowią. Wre-szcie za czwartym razem przyszedł i zajął miejsce koło dziewczyny. Ten właśnie wojownik rzekł do Kutawikutz, aby wstał i usiadł z nim, co też Paunis uczynił. Dziel-czyna siedziała po drugiej stronie ogniska. Młodzieniec włączył koc leżący obok niego, a był to koc dziewczyny, okrył się nim i usiadł. Tak się złożyło, że pomiędzy wodzami był Paunis, które wiele lat temu został przez Komanczów porwany i zaadaptowany, tu-maczył on Jastrzębiowi wszystko, co mówili pozostali wodzowie.

Gdy Kutawikutz usiadł, starzec nabił fajkę i podał ją Skórzanej Koszuli, aby ten zdecydował, co należy zrobić z Paunisem. Wojownik włączył fajkę, ale nie chciał decydo-wać, nie zapalił jej, tylko podał następnemu śledzącemu, ten zaś trzeciemu, ~~trzeci~~ – czwar-temu, aż wreszcie fajka podawana z rąk do rąk trafiła z powrotem do Głównego Wodza. Wówczas zapytał on Jastrzębia:

– Dlaczego przyszedłeś tej nocy do tego tipli i położyłeś się w nim, ty, który jesteś wrogiem moich ludzi? I dlaczego pozawie-szałeś te wszystkie dziwne rzeczy, które tu widzimy? Czy możesz to wyjaśnić?

– Jakis czas temu – odrzekł chłopak – będąc na wojennej ścieżce, wyruszyłem na południe kraść konie. Wędrowałem aż trafi-łem do tego obozu. Ujrzałem trzy konie uwią-zane przed tipli – dwa nakrapiane i jednego siwka. Gdy przecinałem jeden z rzemieni, usłyszałem w tipli jakiś hałas. Zaglądając do środka zobaczyłem tę dziewczynę, jak cesała włosy. Ukradłem dwa nakrapiane ko-nie, wyprowadziłem je z obozu, dałem przy-

Jacielowi, a sam wróciłem i dalej patrzyłem na dziewczynę, aż poszła spać. Przez cały rok kupowałem prezenty – korallki i inne rzeczy, ponieważ zamierzałem po nią wrócić. Po roku zacząłem jej szukać, byłem tam, gdzie obozowaliście rok temu i w dwóch innych obozach, ale nie znalazłem jej tam. To jest czwarty obóz. Zrobiłem, co chciałem, a jeżeli to nie spodoba się jej krewnym, to mogą zrobić, co chcą. Będę szczęśliwy, jeśli będę mógł zginać dla niej.

Gdy to mówił, stary wódz śmiał się: – O te dwa konie, które ukradłeś, nie bardzo dbałem. Najlepszy z całej trójki był siwek i byłem szczęśliwy, że go zostawiłeś. On był właśnie najlepszy.

Po tych słowach w tipi na chwilę zapadła cisza. Później znowu zaczął mówić wódz, ojciec dziewczyny.

– O tym, co powinniśmy zrobić z tym mężczyzną, musimy zdecydować teraz. Jest tutaj Skórzana Koszuła, chciałem aby to on zdecydował. Gdybym to ja decydował, mogłoby to być przeciwko temu Paunisowi, on ma koc mojej córki, a ona jego. Nie będę decydował. Podaję ci fajkę, Skórzana Koszuło i chcę, abyś ją zapalił.

– Wolałbym, aby to wódz śledzący obok mnie zdecydował – odparł wojownik i podał mu fajkę, która znowu zatoczyła koło i jeszcze raz wróciła do ojca dziewczyny. Musiał ją wziąć i podjąć decyzję. W tym momencie zebrani usłyszeli na zewnątrz hałas czyniony przez biegającego człowieka, który krzyczał i śmiał się. Ktoś otworzył drzwi i do środka wszedł stary człowiek. Przechodząc przez próg, potknął się i upadł na kolana. Był to dziadek dziewczyny, który przez cały czas słuchał wszystkiego na zewnątrz.

Fajka znowu została podana wodzowi, a ten ponownie dał ją Skórzanej Koszułi. Gdy wojownik trzymał fajkę, dziadek zawołał:

– Daj mi tę fajkę! Jeśli wy nie możecie zdecydować, ja to zrobię. Za moich czasów było to nie do pomyślenia, nigdy nie oddawałem fajki, zawsze musiałem podjąć decyzję.

Gdy otrzymał fajkę, zapalił ją i wypuścił dym.

– Nie chcę – rzekł – skazywać na śmierć człowieka, który ma koca mojej wnuczki.

Tłumacz powiedział Jastrzębowi, że stary być może mówi na jego korzyść, i gdy skończy, powinien położyć na nim ręce i podziękować za opiekę, to samo powinien zrobić z pozostałymi.

Dziadek tymczasem mówił dalej.

– Nie zrozumcie mnie źle, wodzowie, ani nie bądźcie niezadowoleni z mojej decyzji. Jestem stary. Słyszałem kiedyś, że żyje na północy lud, któremu z ziemi wyrasta coś długiego i białego, i jest okrągłe. Słyszałem, że to jest smaczne. Teraz, wodzowie, zanim umrę, chciałbym spróbować tych rzeczy i chciałbym, aby moja wnuczka usiadła obok tego mężczyzny, aby byli mężem i żoną. Gdy byłem młody, nasze plemiona walczyły ze sobą, ale teraz chciałbym, aby się połączyły, podały sobie ręce i abyśmy byli przyjaciółmi.

I tak też postanowiono.

Młodzieniec powstał, położył swe ręce nad starcem, potem nad Skórzaną Koszułą i nad każdym z zebranych; dziękował wszystkim. Paunis, który był tłumaczem, kazał mu wziąć medal i dać go Skórzanej Koszułi, a potem rozdać wszystkie prezenty pozostałym wodzom. Tak też Jastrząb uczynił. Wszystkie te rzeczy były dla Komanczów nowe i czuli się dumni; wiedzieli, że teraz ładnie wyglądają.

IV

Zaczynało już dniać. W obozie rozeszła się wieść, że w tipi Głównego Wodza jest Paunis i zebrali się tam wszyscy Komancze. Starzy mężczyźni, kobiety i młodzi mężczyźni tak napierali, że w końcu przebrnęli tipi.

– Dajcie nam Paunisa! – krzyczeli. – Tej nocy ukradli nam wiele koni!

Wodzowie i wojownicy uczestniczący w radzie wzięli Jastrzębia między siebie i bronili go. W pobliżu Komanczów obozowali Szejenowie, którzy słysząc, że u sąsiadów w obozie jest Paunis, nadjechali i chcąc go porwać i zabić, potracili paru Komanczów. Wówczas Skórzana Koszuła wziął swój łuk i strzały, wsiadł na konia i kazał Szejenom wracać do swego obozu.



Gdy Szejenowie zorientowali się, że Komancze nie chcą zabić Kutawikutza, zaprosili go do siebie na zabawę, podczas której chcieli go zabić ale Skórzana Koszuła powiedział im, że Jastrząb ożenił się z dziewczyną z plemienia Komanczów. Szejenowie jeździli dokoła obozu Komanczów, krzycząc i strzelając w powietrze z karabinów, co usłyszał i zobaczył przyjaciel Jastrzębia, ukryty na wzgórzu. Myśląc, że Kutawikutz nie żyje, wyjął nóż, oparł rękę o drzewo, objął je rękoma i przebił sobie serce.

Wieczorem, gdy opadły już emocje, Szejenowie wrócili do swego obozu, zapraszając Paunisa i jego żonę do siebie. Skórzana Koszuła wyraził na to zgodę. Trzech wodzów Komanczów szło z przodu, za nimi podążał Jastrząb z żoną, a z tyłu szedł Skórzana Koszuła. Szejenowie wyprawili wielką ucztę dla nowożeńców, a Kutawikutz dostał od nich wiele koni. Następnego ranka poszedł na wzgórze, śpiewając piosenki, które – jak to uzgodnił z przyjacielem – miał zaśpiewać. Zawołał go, ale nie usłyszał odpowiedzi. Zawołał jeszcze raz i zaczął go szukać, aż wreszcie znalazł go martwego, leżącego u stóp drzewa.

V

Kutawikutz pozostał wśród Komanczów. Szejenowie rozjechali się na północ i wschód, a Komancze na zachód w stronę gór. W tym czasie, gdy Jastrząb żył wśród Komanczów, walczyli oni kilka razy z Ute, Apaczami Lipan i Tonkawami. Kutawikutz wstał się jako dzielny wojownik, a będąc życiem wodza, szybko zdobył duże poważanie i sam został wodzem.

Po kilku latach dziadek jego żony powiedział, że nadszedł już czas i chciałby spróbować tych rzeczy, o których tak dawno marzył, a zaczął się teraz naprawdę czuć staro. Kutawikutz zgodził się i wraz z rodziną i starcem ruszyli na północ w kierunku ziem Paunisów. W tym czasie Paunis zwany był Kutawikutz Sitidasit, co znaczy Patrz! Jastrząb. Podczas jednej z bitew, gdy Komancze obserwowali Paunisa walczącego z wrogiem, jeden z nich zawołał: „Patrz! Jastrząb” i stąd wzięło się to imię.

Jechali długo, aż w końcu dotarli do ziem Paunisów. Gdy dojechali do pola, na którym rosła kukurydza, fasola i dynia, Paunis powiedział:

– Spójrz, dziadku na to pole. To są rzeczy, które chciałeś jeść. – Zsiadł z konia, zerwał trochę kukurydzy, fasoli i kilka dyni, po czym podał je Komanczowi. Starzec sądził, że można je jeść w takiej postaci i próbował ugryźć dynię. Kutawikutz Sitidasit widząc to, zaczął się śmiać. Gdy dojechali do rodzinnej wioski Jastrzębia, wszyscy Paunis bardzo się ucieszyli, że go znowu widzą. Powiedział im, że to są jego krewni i że przywiozł ich, bo chcieli spróbować wielu rzeczy. Opowiedział im również o swoim przyjacielu. Jego znajomi przyrzędzili dla Komanczów kukurydzę, fasolę i dynie.

Przez jakiś czas mieszkali w wiosce Paunisów. Gdy już chcieli wracać, Paunis dał im dużo kukurydzy dla Komanczów. Razem z nimi pojechała do Komanczów spora grupa krewnych Jastrzębia. Gdy dojeżdżali, zmarł dziadek, szczęśliwy, że przed śmiercią jadł rzeczy, o których od dawna marzył.

Wkrótce potem, Jastrząb znowu pojechał do Paunisów, lecz tym razem towarzy-

szło mu wielu młodych Komanczów. Takie wzajemne odwiedziny powtarzały się jeszcze kilka razy, a Jastrząb namówił pauniskich wodzów, by udali się na południe i zawarli pokój z Komanczami. Komancze z kolei wyruszyli na północ i gdy się spotkali, palili razem fajkę, razem jedli i stali się przyjaciółmi.

Obozowali razem przez pewien czas, a potem część Komanczów zamieszkała w obozie Paunisów, a część Paunisów – wśród Komanczów. Kutawikutz zwany był przez Paunisów Wodzem Komanczów. Chciał pozostać wśród Komanczów, ale gdy wyruszył na południe, jego żona zachorowała. Lekarze-Komancze nie mogli jej pomóc i Jastrząb chciał z nią pojechać do Paunisów, ale Komancze na to

nie pozwolili. Gdy zmarła, Jastrząb był na nich wściekły. Sądził, że gdyby zabrali ją na północ, żyłaby dalej.

Opuścił więc Komanczów i żył dalej wśród Paunisów znany jako „Wódz Komanczów – Ten Który Czini Pokój”, ponieważ pogodził Komanczów i Paunisów. Był wodzem grupy Skidi Paunisów i człowiekiem postępowym. Swe dzieci posłał do szkoły w Carlisle w Pensylwanii.

Zmarł 9 września 1888 roku.

Przełożył Dariusz Pohl

George Bird Grinnell: *Pawnee Hero Stories and Folk-Tales*. University of Nebraska Press. Lincoln 1961. Ilustracje w tekście: Mirosław Sulgostowski.

ZNANI I NIEZNANI

PAWNEE (PAUNISI)

Nazwa pochodzi od słowa *paríkt* „róg”, słowa tego używano do oznaczenia ich specyficznego sposobu ozdabiania łoku skalnego. Alexander Lesser i Gene Weltfish w swej książce z 1932 roku uważają, że nazwa plemienia pochodzi od słowa *partsu* „myśliwy”. U różnych plemion znani byli jako *Padant* lub *Panana*. Zwali także:

Ahihinin – przez Arapaho, co znaczy „ludzie wilki”.

Awahi – przez Caddo i Wichita.

Awahu – przez Arikara.

Awó – przez Tonkawa, pierwotnie nazwa używana przez Wichita.

Chahiksichahiks – co znaczy „ludzie ludzi” (men of men), nazwa stosowana przez nich samych, a także przez wszystkie inne plemiona, które uważali za cywilizowane.

Darázhazh – przez Kłowa-Apache.

Harahey – w dokumentach Coronado.

Ho-ni'-i-tani-o – przez Szejenów, co znaczy „ludzie młode wilki”.

Kuitare-i – przez Komanczów, co znaczy „ludzie wilki”.

Paunisi – przez Polaków.

Paoneneheo – wczesna szejńska nazwa oznaczająca „ci ze sterczącymi zębami”.

Páyin – przez Kansa, od nazwy plemienia.

Pi-ta-da – nazwa nadana im, jak podaje G. B. Grinnell w 1923 roku, przez południowe plemiona.

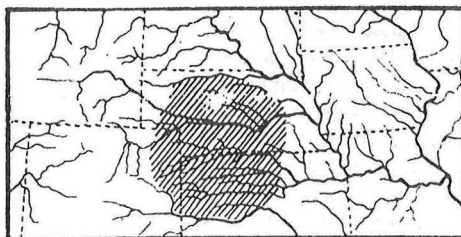
Tse-sa do hupaka – przez Hidatsa, co znaczy „ludzie wilki”.

Wóhesh – przez Wichita.

Yaratenumanke – przez Mandanów.

Język: Paunisi są jednym z głównych plemion kaddoańskiej rodziny językowej. Od nich odłączyli się Arikara. Są bliżej spokrewnieni z Wichita niż z Caddo.

Rozmieszczenie: Zamieszkiwali tereny wokół środkowego biegu rzeki Platte oraz nad rzeką Republican.



Podział: Paunisi składają się w rzeczywistości z czterech grup, czterech znanych nam z historii, a mianowicie: **Chaui** lub **Paunisi Główni**, **Kitkehahki** lub **Paunisi Republikańscy** (od rzeki Republican, nad którą mieszkali), **Pitahauerat** lub **Paunisi Tapage** oraz **Skidi** lub **Paunisi Skiri**. Pierwsze trzy grupy mówią tym samym dialektem, są ściśle związane ze sobą i znacząco różnią się od tej ostatniej grupy. **Kitkehahki** dzielą się na dwa odłamy **Kitkehahki właściwi** i **Mali Kitkehahki**. James R. Murie (1914) podaje dwie inne nazwy tych grup: **Czarne Głowy** i **Karikisu**, ale Lesser i Weltfish uważają, że Czarne Głowy to nazwa stowarzyszenia, a **Karikisu** to taniec kobiety albo nazwa ceremonii przeprowadzanej przed sianiem kukurydzy. **Pitahauerat** składają się z **Pitahauerat właściwych** i z **Kawarakis**, czasem występujących jako nazwa wioski.

Historia: Uważa się, że Paunisi zawsze żyli w kraju, znanym nam z ich historii, jednak jest kilka śladów, które wskazują na ich pochodzenie ze wschodu i południa. Pierwsi biali ludzie, którzy napotkali Paunisów to byli Hiszpanie pod wodzą Coronada w 1541 roku. Następna notka o nich pochodzi dopiero z początku XVIII wieku, kiedy to spotkali ich francuscy odkrywcy. Mniej więcej w tym samym czasie spotkali się z Hiszpanami z Nowego Meksyku, gdzie udawali się w poszukiwaniu koni.

Paunisi znajdowali się nieco z boku od głównego szlaku odkrywców ze wschodu i w konsekwencji ponieśli mniejsze straty liczebne z rąk białych niż wielu ich sąsiadów. Mimo to znaczne straty ponosili z powodu wojen, jakie prowadzili z okolicznymi plemionami, a zwłaszcza z Dakotami. Stosunki z rządem Stanów Zjednoczonych układały się dobrze od samego początku, nawet mimo szorstkiego traktowania przez nich pierwszych handlarzy i traperów. Paunisi bez przerwy dostarczali armii po granicze swoich zwładowców. Traktaty, jakie podpisali w 1833, 1848 i 1857 roku pozbawiły ich wszystkich ziem w Nebraska z wyjątkiem jednego rezerwatu. W 1876 oddali także i ten obszar, a w zamian dostali nowe ziemie w Oklahomie, gdzie żyją do

dzisiaj. Ziemia została podzielona na działki i oddana w indywidualne posiadanie.

Liczebność: James Mooney (1928) oszacował liczbę Paunisów na dziesięć tysięcy w roku 1780. W 1831 po epidemii czarnej ospy przebywał u nich John Dougherty, który oszacował ich liczbę na dwanaście i pół tysiąca, stwierdzając przy tym, że jest to tylko połowa plemienia, ta która przeżyła tę straszną chorobę. Następnie epidemia czarnej ospy (1837-39) jeszcze bardziej obniżyła ich liczebność. John B. Dunbar i Samuel Allis (1880-82) podali, że w 1832 roku Paunisi liczyli jeszcze dziesięć tysięcy osób. Po epidemii cholery w 1849 roku ich liczba zmniejszyła się do czterech i pół tysiąca, w 1856 wzrosła nieznacznie do 4.686 osób, lecz już w 1861 spadła do 3.416. W 1879, po ciężkich cierpieniach z powodu wysiedlenia na Terytorium Indianie, ich liczba drastycznie spadła do 1.440, a do roku 1906 zostało ich tylko 649. Spis ludności przeprowadzony w 1910 roku podaje liczbę 633, zaś spis z 1930 – 730 osób. W 1937 zanotowano 959 osób.

Miś

O Paunisach pisaliśmy obszernie w numerze 16 „Tawacina” z 1991 roku.



Nie mamy już prawdziwych lekarzy. Co innego być lekarzem u białych, co innego u Indian. Życie podobne jest do ścieżki, którą wszyscy musimy pójść. Jeśli upadniemy, jeśli żyjemy w ciemności – trzeba powstać i iść dalej tą ścieżką. Podczas wędrówki napotykałyśmy różne doświadczenia niczym małe karteczki papieru leżące przed nami. Trzeba je zbierać i kłaść do kieszeni. Któregoś dnia wyjmemy je, odczytamy ich zawartość i weźmiemy to sobie do serca. I dalej w drogę. Im więcej kartek nazbieramy, im więcej przeczytamy – tym więcej dowiemy się o życiu. Ale pamiętajcie, nawet jeśli zbierzemy wszystkie karteczki, musimy się uczyć dalej. Nikt jeszcze nie poznał wszystkich odpowiedzi.

Wujek Frank Davis
duchowy Starzec Paunisów

najświętsza i najpotężniejsza część majątku wojownika

TARCZA WOJENNA

Podobnie jak nakrycie głowy z orlich piór jest najwspanialszą ze wszystkich osobistych ozdób, tak tarcza jest najważniejszym przedmiotem z całego ekwipunku wojennego. To właśnie tarczę obdarza wojownik bezkresną cierpliwością, opieką i myślą. Musi być idealna, nie tylko w swym kształcie, dopasowaniu i budowie, ale także w swej mocy. Wojownik myśli o niej, pracuje nad nią, modli się do niej: jej opiece i ochronie powierza swe życie, jej ozdobieniu oddaje swe myśli, poświęca czas i środki, do niej przymocowuje swą torbę ze świętościami i skalpy wrogów, to na niej wymalowany jest jego totem, zajmuje widoczne ale zarazem bezpieczne miejsce w domu, a w każdy pogodny dzień wisi przed drzwiami. Oto jego tarcza, jego obrońca, jego herb, jego świętość.

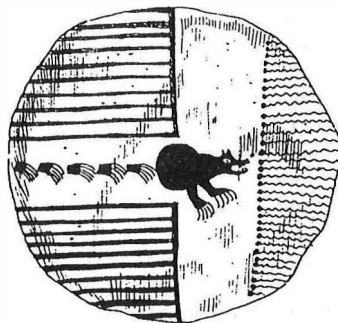
We *Wspomnieniach o życiu wśród Indian* napisanych przez Jamesa Willarda Schultza, znajduje się opowieść jak Czarna Stopa o imieniu Lisie Oczy robił tarczę. Jest to cudowna historia, która mówi o wielu zachwycających i tajemniczych etapach robienia tarczy.

Po kilku dniach postu, Lisie Oczy miał wizję jakiegoś wodnego zwierzęcia, które przyszło, żeby stać się jego świętym pomocnikiem. Powrócił do obozu i wkrótce wydał ucztę, na którą zaprosił kilku wojowników, w tym paru ze świętymi fajkami. Wierżono bowiem, że są oni szczególnie lubianymi „Słońca”.

Lisie Oczy wytłumaczył, że ma teraz tajemnego pomocnika i potrzebuje tarczy, aby iść na wojnę. Chciałby dowiedzieć się, kto mu ją zrobi, jeżeli dostarczy materiałów.

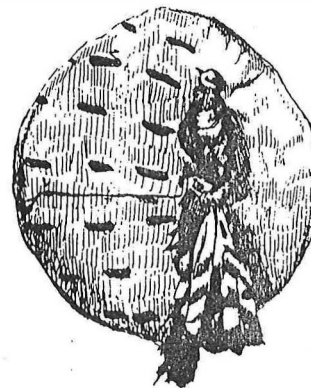
Pierwszy zgłosił się Czarna Wydra i został wybrany do tego zaszczytnego zadania. Lisie Oczy, aby okazać swą wdzięczność, oblał mu dwa konie, gdyż jak wyjaśnił Schultz, tarcze były dla Czarnych Stóp „przedmiotami najbardziej pieszczonymi i wierżono, że mają moc ochronną”.

Pierwszym żądaniem Czarnej Wydry były pióra z błyszczącymi czarnymi końcówkami z ogona orła złocistego, więc Lisie Oczy wykopał jamę i po dziesięciu dniach miał pióra z ogonów czterech orłów. Wszyscy mówili, że to „wyjątkowe szczęście”, gdyż miał teraz



Tarcza wojenna Kłowa z symbolem niedźwiedzia.

dość piór do ozdobienia tarczy, a także na pióropusz. Następnie udał się z Schultzem na polowanie i zabił byka bizona. Był bardzo, bardzo stary, którego „niegdyś sierpowate, gładkie czarne, ostre rogi zamieniły się obecnie w nierówne, blade pierńki”.



Tarcza wojenna Gros Ventre z wypcharym jastrzębiem.

Był to najlepszy dowód jego odwagi. „Stoczył wiele walk i przeżył je” – powiedział Lisie Oczy, gdy wraz z Schultzem usuwali skórę z szyi i łopatek. Z pewnością był to znak, że tarcza zrobiona ze skóry tego bizona, będzie jego potężnym obrońcą i że zapewni mu bezpieczeństwo w bitwach z wrogami jego plemienia.

Potem zaniesli wybrany kawałek grubej skóry do Kobiety Borsuk, a ona starannie usunęła z niej futro, zostawiając lśniąca brązowo-czarną nietkniętą powierzchnię. Trochę później został on wręczony Czarnej Wydrze i zaczęła się interesująca ceremonia przemiany go we właściwą skórę.

Z tej wielkiej okazji Czarna Wydra ubrał się w swój najlepszy wojenny strój: miękką koszulę ze skóry kozła, legiiny i mokiasy – wszystko to pięknie wyszyte w wielokolorowe wzory kołcami jeżozwierza. Na głowie miał zapierający dech w piersiach pióropusz Czarnych Stóp ze skórą gronostaja i rogami. Dłonie i twarz pomalował na matowo czerwony, święty kolor. Tuż obok jego domu znajdował się rozpięty i przybity

do ziemi, kawałek bionej skóry. Czarna Wydra klęcząc na nim modlił się, wycinając jednocześnie koło o średnicy 120 cm.

O Słońce! O Nocne Światło! Gwiazdo Poranna! O wszyscy Wy Ponad! – śpiewał. – Wysłuchajcie i zlitujcie się dziś nad nami. Dajcie swą świętą moc tej tarczy, którą robię, tak aby zapewniła jej posiadaczowi bezpieczeństwo w jego starciach z wrogiem. O Wy Ponad! Nam Wszystkim, mężczyznom, kobietom i dzieciom dajcie długie, dobre życie i dobre zdrowie, pomóżcie nam pokonać naszych wrogów, którzy zawsze usiłują nas zniszczyć.

W tym czasie kilka kobiet podgrzewało kamienie w małym ognisku i wykopało w jego pobliżu niewielki otwór w ziemi, do którego wtoczyły kamienie i przykryły cienką warstwą luźnej ziemi. Potem Czarna Wydra z pomocą trzech przyjaciół, ubranych w wojenne stroje, położył okrągły kawałek skóry na otworze i każdy po kolei wkładał kołki w zrobione na krawędzi w regularnych odstępach nacięcia, opowiadał o stoczonej przez siebie walce z wrogiem, w której został zwyciężony i zaliczył dotknięcie. Wkrótce od gorączki skóra zaczęła się kurczyć, aż wygłębia kołki do środka. Gdy tylko się poluźniły, pomocnicy wyciągali je i mocowali drugi raz. Czarna Wydra nadzorował każdy etap pracy, dotykając często skóry, aby sprawdzić, czy się nie pali i wołając o więcej gorących kamieni, jeśli zachodziła taka potrzeba.

W ciągu mniej więcej godziny, skóra skurczyła się prawie o połowę i – pisze Schultz – „miała co najmniej dwa i pół centymetra grubości”. W czasie całego procesu Czarna Wydra modlił się często i razem z pomocnikami śpiewał święte pieśni. Kiedy kurczenie dobiegło końca, Lisie Oczy zabrał skórę do domu, aby dokończyć pracę i dodając pióra z ogona orła, zrobić z niej piękną tarczę.

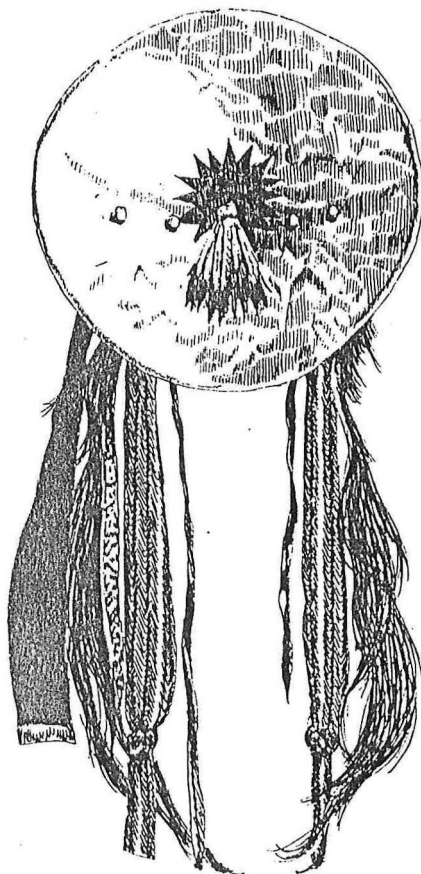
Przy tworzeniu tarczy Czarnych Stóp zaangażowanych więc było wielu ludzi. Wybrany do tego zaszczytu przyjaciel nadzorował kurczenie, a właściciel wykańczał ją. Pomagało też wielu innych, w tym kobiety.

Z kolei wojownik Siuksów twierdził, że sam zdobył i przygotował skórę, a symbole na tarczy wykonał człowiek posiadający moc. Gdy święty mąż malował wzory na tarczy, modlił się nad nimi i śpiewał pieśni wojenne aby nadać im moc, w powszechnym zwyczaju wojowników Siuksów było wylizanie przed tym świętym człowiekiem swych dotknięć przy pomocy małych patyczków, które upuszczano po jednym za każde dotknięcie. W tym przypadku usługi tego świętego człowieka warte były dwóch dobrych koni.

Choć tarczę można było przebić prostopadłym uderzeniem, to uderzona pod kątem była na tyle twarda, że odbijała wóchnię, strzałę czy nawet – z pewnej odległości – kulę z broni o nęglwintowanej lufie. Prawie każdy wojownik Równin zabierał taką tarczę ze skóry byka bizona na najazdy i wyprawy wojenne. Co więcej, ceniono ją wysoko za świętą moc i uważano za najświętszą i najpotężniejszą część majątku. Jej malowane symbole i przymocowane przedmioty pochodziły z wizji, a jej zrobieniu i pielęgnowaniu wojownik poświęcał dużo uwagi, umiejętności i myśli.

Zabieranie szczególnie ładnej tarczy na bitwę miało w sobie coś z ryzyka, gdyż zaliczanie dotknięcia na posiadacza takiej tarczy było bardziej cenione i znamienite. Zwycięstwu nad takim wrogiem towarzyszyło z pewnością wielkie chwalenie się. Cóż to był za widok, gdy konny jeździec rzucał się do walki z piórami przy tarczy i długimi wisiorami ciągnącymi się za nim jak widzialne linie jego szybkości. Obrazy Russella i Remingtona pokazują najlepiej pełny efekt ruchu tarczy i jej właściciela.

Można by przypuszczać, że święta moc tarczy mieściła się we wzorach, malowanych na niej i w innych jej dekoracjach, ale poważne rozważenie budowy tarczy i jej pochodzenia ujawnia, że w rozumieniu Indian moc ta wywodził się z sumy wszystkich etapów jej tworzenia. Z ich punktu widzenia kompletna tarcza była dosłownie natchniona przez modlitwę i „moc”; siłę tę niesiono jako ścianę ochronną, promieniącą destrukcją na wroga. Faktem jest,



że to działało i być może dlatego, że wróg też w to wierzył i odpowiednio reagował. Bitwy często wygrywano lub przegrywano dzięki strategii świętości znajdujących się na tarczach.

Tarcza wojenna jest doskonałym przykładem wymieszania praktycznego doświadczenia i świętości w myśli indiańskiej. Zdanem Indianina, nie tylko kształt i cechy materiału udzielały swej wartości ochronnej, ale także wizja, pomocnicy, zaklęcia i obrzędy użyte do ożywienia tarczy i jej pokrowca ze skóry losia lub innego dobrego materiału.

Pokrowce i tarcze każdego wojownika, musiały być wykonane lub przynajmniej obmyślane przez posiadacza fajki lub czło-



wieka mocy. Każdy w plemienu wiedział, że sny i wizje powierzyły tym ludziom wymaganą świętą moc i ceremonie, które trzeba odprawić, takie jak oczyszczenia, modlitwy, pieśni, ofiary czy rytuały ze specyficznym symbolizmem. Powstała stąd symbole wypalano lub malowano na tarczach oraz wyszywano koralikami lub kolcami na pokrowcach, podobnie jak pióra, kitki i wiele innych ozdób wiszących na jednym i drugim miały charakter talizmanów i wzięte razem dawały tarczy zbiorczą moc. To właśnie w tę zbiorczą moc wierzył wojownik, gdy zabierał tarczę na bitwę, że ona uchroni go przed krzywdą.

Niektóre tarcze tak dobrze wywiązywały się ze swych obowiązków, że okazywały się prorocze dla wyprawy wojennej. Jedną z wypraw Wron prowadzona była przez człowieka zwanego Górski Wiatr, który miał tarczę o wielkiej sławie. Gdy znalazł się już w zasięgu Siuksów, Górski Wiatr zatrzymał się, żeby porozmawiać przed walką ze swą tarczą.

Na tarczy widniała postać mężczyzny z twarzą pomalowaną na niebiesko. Miała wielkie uszy i w lewej ręce trzymała prostą, czerwoną kamienną fajkę, której krawędź otoczona była pięknymi piórami orla, trzepoczącymi na wietrze.

Tarcza wojenna Komanczów z kolekcji Harveya:
a. Tarcza właściwa
b. Pokrowiec wewnętrzny
c. Pokrowiec zewnętrzny

Górski Wiatr wyjął tarczę z pokrowca i uniósł ją nad głowę. Potem zaczął śpiewać pieśń, której inni nie rozumieli. Zaśpiewał ją cztery razy. Pozostali odpowiadali także cztery razy tradycyjnym okrzykiem Wron. Potem Górski Wiatr zataczał się jak mający zawroty głowy ślepiec i śpiewał cicho do swej tarczy, zwrócony twarzą nie ku wrogom, ale ku wschodzącemu słońcu. Jego tarcza machała do słońca jak ludzka dłoń, gdy pytał ją, co się stanie.

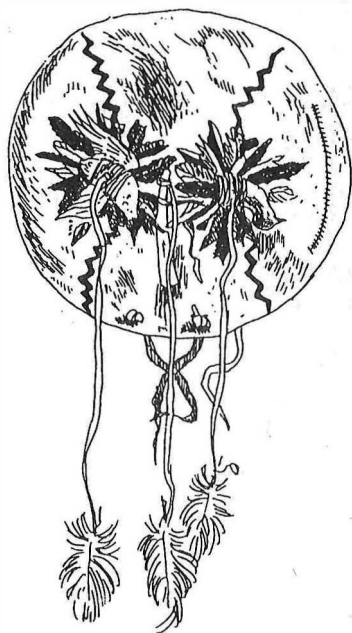
Pozostali patrzyli jak zauroczeni, momentami zapominając nawet o Siuksach. Nagle Górski Wiatr upuścił tarczę! Spadła przodem do ziemi. Podniósł ją tak jak upadła, przodem do dołu, na wysokość swych piersi, nieustannie śpiewając, aż z krawędzi tarczy opadło na ziemię orle pióro, wydając przy tym świst. Wtedy Górski Wiatr obrócił tarczę, aby spojrzeć na jej drugą stronę. Ujrzał wiele skalpów Siuksów oraz dużo koni, ale dodał, że jeden wielki wojownik Wron nie powróci z nimi do domu. Natychmiast Długi Koń zaczął śpiewać, opowiadając o swym wróżebnym śnie i że to on będzie tym, który nie powróci.

Wrony wzięli na tej wyprawie dziesięć skalpów Siuksów i wszystkie ich konie. Długi Koń był jedynym Wroną, który zginął z ręki Siuksa.

Inna historia opowiada o tarczy, którą właściciel toczył po ziemi, a potem prorokował z jej wyglądu i położenia, którym szlakiem należy podążyć i jaki będzie rezultat wyprawy czy bitwy. Znamienne jest to, że liczne przepowiednie okazywały się na tyle celne, aby zasłużyć na uwagę i zastanowienie.

W kilku plemionach członkowie niektórych Stowarzyszeń nosili tarcze o wspólnym wzorze. Używali także takich samych koszul wojennych, okrzyków bojowych, pieśni, malunków ciała i dekoracji konia. Piktograficzne obrazy Siuksów pokazują, że stosowane powszechnie przez nich symbole stowarzyszeń nie zawsze obejmują tarcze. Mówi się, że u Szejenów wszystkie tarcze wykonywało jedno ze stowarzyszeń, którego członkowie nosili płaską czerwoną tarczę ze zwisającym z niej bizonim ogo-

nem. Wierzono, że takie czerwone tarcze są szczególnie potężne, gdyż wzór został przekazany przez wielkiego proroka, Słodki Lek (Sweet Medicine), który przyniósł plemieniu święte strzały posiadające moc. Kiedy nosiciele czerwonych tarcz obracali nią w kółko przed obliczem wroga, przekonani byli, że jej moc powstrzyma strzały wroga. Jeśli stało się inaczej, przyczyn szukano oczywiście w czymś innym.



Tarcza wojenna Wron z dwoma małymi ptakami.

Wzory malowano zarówno na samej tarczy, z przodu, jak i na jej delikatnym pokrowcu ze skóry kozła. Niektóre wzory zawierały rysunki zwierząt, a także symbole elementów świata, takich jak gwiazdy czy błyskawica. Niektóre wzory malowane na tarczach Komanczów miały tak rozmieszczone linie, że mogły służyć jako kompas prowadzący właściciela w pochmurne dni.



Tarcza wojenna Siuksów z typowym szerokim pasem filcu.

Jedna z linii wskazywała kierunek odległego punktu orientacyjnego. Wszystkie wzory pełniły rolę specjalnych pomocników, które właściciel tarczy otrzymał podczas wizji. Wzory takie zawsze stosowano zgodnie z określonymi ceremoniami i tabu, związanymi z tradycjami plemiennymi. Uważano, że naruszenie jednego z nich zniszczy moc tarczy.

Członkowie Stowarzyszenia Niedźwiedzia zawsze mieli na swych tarczach niedźwiedzia, ale osoba spoza tego stowarzyszenia także mogła użyć tego symbolu w rezultacie wizji. Rysunek niedźwiedzia lub odciśnięcie jego łapy oznaczało, że właściciel wierzył, iż niedźwiedź przekaże mu siłę i umiejętności, gdy będzie tego potrzebował. Jeśli wzór zawierał żółwia, oznaczało to, że niosący tarczę wierzył, iż będzie

w ten sposób długo żył (to znaczy wystarczająco długo, aby przeżyć wiele bitew, ale nie do czasu, gdy będzie bezżębny). Żółw był długowieczny, a wojownik wiedział, że rusza się jeszcze po odcięciu głowy. Specjalne świętości wykonywane z całości lub części zwierząt albo ptaków „z wizji” przywieszano do tarczy lub umieszczano pod zewnętrznym pokrowcem i długimi wisiorami ze skóry lub koca, najczęściej czerwonego albo niebieskiego; ozdabiano je orlimi piórami i przymocowywano do samej tarczy. Miały one obdarzać wojownika odwagą i umiejętnościami tych zwierząt i ptaków. Przeciwnik mógł naturalnie odczytać te symbole równie dobrze, jak właściciel przez co późniejsze potyczki stawały się bardziej interesujące.

Z obrazów Russella, Remingtona i Koenera widać, że wojownik pleszo lub konno nioś swą tarczę na kilka różnych sposobów. Najczęściej wojownik przewieszał pas tarczy przez szyję, a samą tarczę nioś na plecach. Kołczan znajdował się płasko pod tarczą albo poniżej. Pas tarczy wiązano z przodu w węzeł, aby w czasie podróży wygodnie przełożyć ją na plecy i uniknąć odbijania się lub uszkodzenia. Podczas walki tarczę przesuwano w takie miejsce, aby móc sięgnąć ją swobodnie lewą ręką i unieść lub upuścić odbijając strzały lub kule. Sądząc z wielkości obrazów i fotografii, gdy wojownik nie nioś jej na plecach, zwisała z tylnego łuku siodła po lewej stronie konia – znowu z pasem związanym w węzeł, aby wygodnie przyciągnąć tarczę do konia. Mocowanie jej po lewej stronie nie było jednak regułą – niektórzy wojownicy zawieszali ją po prawej stronie. Czasem zwisała z przedniego łuku siodła i znajdowała się wtedy przed lub pod nogami jeźdźcy.

Gdy wojownik nie nioś tarczy ze sobą i jeśli był słoneczny dzień, umieszczano ją na trójnogu przed tył, z tyłu, czyli po stronie zachodniej. Umieszczano ją tam jako przedmurze do ochrony domu właściciela przed atakiem lub złymi duchami zbliżającymi się od jego „ślepej” strony.

Tipi Czarnych Stóp miały często z tyłu dwa trójnożne stojaki. Jeden trójnóg przeznaczony był na tarczę, a drugi na zawieszak z przedmiotami posiadającymi moc. Dość powszechne jednak było umieszczanie obu na jednym trójnogu. Umieszczenie tarczy na zewnątrz, nazywano „nasłonecznianiem tarczy” i Indianie wierzyli, że w ten sposób stawała się dodatkowo natchniona mocą słońca. Kłowa mówili, że gdy ktoś naruszył tabu związane z umieszczeniem tarczy i opleką nad nią, stawał się pośmiewiskiem i czekały go nieszczęścia.

Na Równinach występowały cztery typy tarcz: tarcza wojenna, taneczna, która była lżejszą wersją tarczy wojennej, następnie tarcza człowieka świętego, tarcza miniaturowa, stanowiąca kopię tarczy wojennej, którą często zabierano w dalekie podróże.

Tarcza wojenna występowała w trzech odmianach. Najbardziej spotykaną odmianę tarczy wojennej wykonywano poprzez zszyć czterech lub pięciu płaskich surowych skór, obciąć ich w tradycyjny okrągły kształt, a następnie udekorowanie przedniej strony piórami i pasami materiału. Drugi typ tworzone przez formowanie skóry wokół drewnianej obręczy. Wykorzystywano wiele różnych tarcz obręczowych, ale wymagały one cieńszej i słabszej skóry niż te wyrabiane trzecim sposobem, którym był proces kurczenia skóry na gorąco. Znaczną większość tarcz wojennych wyrabiano właści-

wie w ten sposób, gdyż kurczenie powodowało pogrubienie skóry i łatwiej było nadać jej kształt wklęsły lub wypukły, co podnosiło właściwość odbijania.

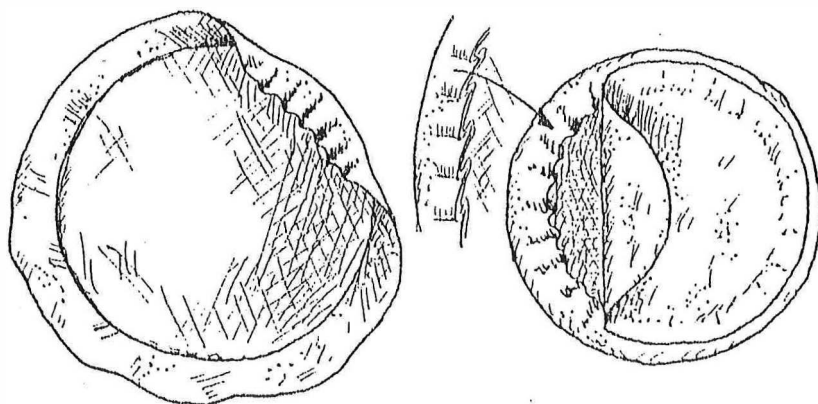
Do czasu pojawienia się konia, wojenne tarcze Indian Równin były dość duże – często miały średnicę 90 cm i więcej. Dla konnych były jednak zbyt niewygodne i z czasem rozmiary malały, aż przeciętna wojenna tarcza osiągała tylko 45 cm średnicy.

Młodzi mężczyźni, jako nowicjusze, często na swą pierwszą lub drugą wyprawę wyruszali bez tarczy. Mężczyźni, którzy na terytorium wroga udawali się pieszko, nigdy nie brali ciężkich tarcz. Tarcza była ostatnim do wykonania elementem ekwipunku młodego mężczyzny przygotowującego się do wstąpienia w świat dorosłych.

Tarcze wojenne były wspaniałymi dziełami sztuki, z tym że jednak tarcza była czymś więcej niż tylko dziełem sztuki. Dla Indianina tarcza wibrowała mocą, a przez nasłonecznienie jej cały czas mógł pobierać dla niej moc. Nie dziwi więc fakt, że gdy wojownik ruszał w ostatnią podróż do Tajemniczego Kraju Zmarłych, tarczę umieszczano przy jego boku.

Wybór i tłumaczenie Dariusz Pohl

Fragmenty rozdziału książki Thomasa E. Mallsa *The Mystic Warriors of the Plains*. Double Day & Company, INC. Garden City, New York. Copyright © 1972 by Thomas E. Malls.



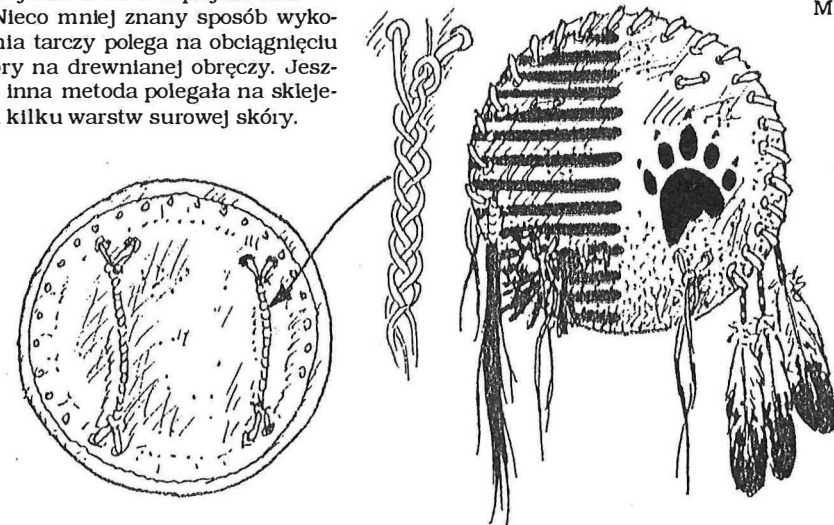
ZRÓB TO SAM

Tarcza do tańca

Istnieje wiele tradycyjnych sposobów wykonywania tarczy. Najbardziej popularny polega na kurczeniu skóry, zdjętej wcześniej z garbu lub szyi bizona byka, najlepiej samotnika. Kurczenie odbywało się także w różny sposób. Najbardziej znana metoda polegała na wykopaniu niewielkiego dołka w ziemi, nad którym rozkładano kawałek skóry, przeznaczony na tarczę, przybijając go do ziemi kółkami. Do dołka wkładano gorące kamienie, polewając je wodą. Pod wpływem temperatury, skóra zaczynała się kurczyć i po około godzinie kurczyła się o połowę, zwiększając przy tym grubość prawie dwukrotnie, czasami nawet do 2,5 cm. Gorącą jeszcze skórę kładziono na usypany z płasku kopczyk, aby nadać jej nieco wypukły kształt.

Stosowano też inne metody, np. rozciągano przeznaczony na tarczę kawałek skóry na ziemi, przysypywano go piaskiem, a na nim rozpalano niewielkie ognisko lub kładziono rozgrzane kamienie. Czasami kopano dół w ziemi, rozpalano tam niewielkie ognisko, a nad nim rozciągano skórę. Inną metodą kurczenia stosowali Arapaho. Moczyli ją bowiem w ciepłej wodzie.

Nieco mniej znany sposób wykonania tarczy polega na obciągnięciu skóry na drewnianą obręcz. Jeszcze inna metoda polegała na sklejeniu kilku warstw surowej skóry.



Wykonanie tarczy dzisiaj nie wymaga już takich przedsięwzięć. Można ją zrobić o wiele prostszymi metodami, a jako tarcza do tańca spełniać będzie swe funkcje równie dobrze.

Z dużego kawałka sklejk wycinamy koło o średnicy mniej więcej 35-40 cm. Najlepiej do tego celu nadają się siedzenia ze starych okrągłych krzeseł, gdyż są już okrągłe i posiadają wypukły kształt. Ze skóry, najlepiej jasnego koloru wycinamy okrągły kawałek, większy od koła ze sklejki o dwa lub trzy palce (rys. na stronie obok). Używając dobrego kleju np. butaprenu przyklejamy skórę, błyszczącą stroną do sklejki. Zawijając brzegi przyklejamy ją do wewnętrznej strony naszej tarczy. Następnie wycinamy drugi okrągły kawałek skóry, ale tym razem o niecały centymetr mniejszy od koła ze sklejki i przyklejamy go do wewnętrznej strony. Po wyschnięciu wdercimy w tarczę otwory (można to zrobić wiertarką) i przymocujemy rzemienie, które służyć nam będą jako uchwyty. Możemy też przewiercić kilka innych otworów, które przydadzą się później do przywiązywania różnych ozdób.

Pomalowana tarcza z przymocowanymi do niej piórami, nie koniecznie orlimi i innymi ozdobami jest naprawdę wspaniałą rzeczą, nawet jeśli wisi tylko na ścianie.

Miś

Billy Caldwell na wygnaniu w Starym Chicago

Prawda o Sauganashu okazała się nieskończenie ciekawsza od legendy,
która narosła wokół jego postaci

Pierwsze szkice biograficzne przedstawiają kapitana Billy Caldwell jednym zamaszystym pocłagnięciem pióra jako postać, która chlubił się choć przelotnie pojawiła się na kartach wczesnych, na pół zmyślonych relacji znad granicy Wielkich Jezior. Te skonwencjonalizowane biografie opierały się na przekazach ustnych, gawędach czołowych obywateli Chicago, z których wielu nawet go nie znało osobiście.

Opowiadający zgadzają się, że Billy Caldwell był synem kobiety z plemienia Potawatomi i angielskiego oficera; przyjmują, że urodził się w Illinois. O jego czynach mówią czasami w bardzo wzniosłych słowach. Oto przykład: 16 sierpnia 1812 roku zjawił się w forcie Dearborn zbyt późno, żeby zapobiec masakrze, ale w samą porę, żeby wyskoczyć ze swego kanu z kory brzozyowej z okrzykiem: „To ja, Sau-ga-nash!” i samym swym widokiem powstrzymać zakrawione tomahawki wzniecone nad pochylonymi głowami rodziny Kinzie.

Legenda te z całym przekonaniem twierdzą, że Billy Caldwell był wielkim wodzem Potawatomi, że był osobistym sekretarzem Tecumseha, współpracował z założycielami Chicago, zapobiegał na czas niebezpieczeństwu grozącemu ze strony wrogich Indian i wreszcie, że z dużym taktem skłonił Potawatomi do pozbycia się ich praw do ziem nad Jeziorem Michigan. W nagrodę za

te usługi, rząd amerykański wybudował mu pierwszy w Chicago dom drewniany. Mark Beaubien imieniem Sau-ga-nasha nazwał pierwszy z prawdziwego zdarzenia hotel w Chicago i dostał też dwa i pół działu ziemi, czyli tysiąc sześćset akrów.

Jak wieść niesie, jesienią 1833 roku Billy Caldwell oddał największą przysługę mieszkańcom Chicago. Podczas traktatu, jaki zawarto w tym mieście na starym placu obrad znajdującym się w północno-zachodniej jego części (podobno naradzano się pod wjazdem, tam gdzie teraz zbiegają się ulice Rogersa i Kulbourn a i gdzie zaczyna się aleja Caldwell) przekonał swe plemię Potawatomi aby bez oporu przystali na żądanie Amerykanów i oddali resztę swych ziem na południowych brzegach Jeziora Michigan. Potem poprowadził ich ku zachodzącemu słońcu przez szeroką Mitchisebe¹, na porośniętą trawą równinę, gdzie czekała ich niepewna przyszłość, a jego – ledwie zauważona śmierć w 1841 roku.

We wszystkich tych podaniach wizerunek Billy Caldwell a tworzą najbardziej typowe określenia epoki: Indianin, mieszaniec, prawdziwy przyjaciel, biały człowiek, wierny mąż, szlachetny czerwonoskóry, niezawodny przyjaciel Amerykanów. Płynię z nich moralna nauka – barbarzyństwo znika w obliczu cywilizacji, tubylec godzi się z nadejściem postępu.

Część winy za historyczne zamieszanie wokół jego tożsamości spoczywa na barkach jego pracodawców, ludzi takich jak Robert Forsyth, Alexander Wolcott i Antoine Guillemette, którzy uznali, że odda im większe usługi, jeśli będą go promować jako wodza Potawatomi. Główną odpowiedzialnością trzeba jednak obarczyć samego Caldwell a, gdyż przystał chętnie na tę maskaradę. Zawsze żądny uznania i prestiżu wymyślał o sobie różne historie, aby podnieść swą reputację. Jedną z nich była rzekoma zażyłość z Tecumsehem; w latach trzydziestych ubiegłego wieku większość Kanadyjczyków i Amerykanów powyżej czterdziestki chwaliła się znajomością z wielkim Szawanezem.

Widzimy zatem, że Billy Caldwell miał problemy ze swą tożsamością. Najwyższy czas, aby historyk rozwiązał wszelkie wątpliwości związane z jego przynależnością etniczną, państwową i z rolą, jaką odgrywał. Prawdziwe zdarzenia z jego życia wzbudzają o wiele więcej zainteresowania aniżeli legenda, albowiem był burzliwym człowiekiem, który spędził życie na czterech burzliwych granicach.

Według swych własnych wyliczeń Billy Caldwell urodził się w dniu świętego Patryka. Było to w 1780 roku w obozie zbiegłych Mohawków słynnego Josepha Branta, rozbitym w pobliżu bazy ich angielskich sojuszników w Niagara. Choć nie zapamiętano imienia jego matki, znany jest jej ojciec. Był nim Wschodzące Słońce, wódz Mohawków, towarzysz Branta w wojnie na pograniczu przeciw zbuntowanym Amerykanom. Ojcem Billygo był William Caldwell starszy, niedawno przybyły do kolonii z hrabstwa Fermanagh, kapitan w brygadzie rangersów Waltera Butlera.

William Caldwell starszy nie darzył większym uczuciem swej irokeskiej małżonki ani spłodzonego z nią syna. Wkrótce ich opuścił. Mówi o tym najstarszy dokument dotyczący chłopca i zwraca uwagę na problem, z którym Billy Caldwell będzie się zmagał prawie całe życie. Jest to „Piosenka i Taniec” Mohawków napisana przez Williama Clausa, towarzysza broni starszego

Caldwella i poświęcona Małemu Panu Caldwellowi. Słowa: *Pozdrowienia... dla opuszczonego chłopczyka...* (którym jest) *Dobry Tomek* wskazują, że chłopcu nadano ulubione imię Caldwellów – Thomas. Ale Billy było imieniem użytym wplaw przez jego indiańską matkę i pozostało z nim do śmierci.

Mało wiadomo o jego dzieciństwie, prócz tego, że mieszkał z matką w osadzie Mohawków Branta. Był świadkiem ostatecznej klęski plemienia w wojnie o niepodległość, wędrowni z Nowego Jorku i osiedlenia się nad Wielką Rzeką (Grand River) w rządzonej przez Anglików terytorium na północ od Jeziora Ontario.

W tym samym czasie ojciec Billygo osiedlił się nad rzeką Detroit. Tam pojął za żonę Suzanne, córkę wpływowej francuskiej rodziny Baby. Wiedząc, że prawo prowincji Quebec daje pierwszeństwo najstarszemu synowi, bez względu na pozycję jego matki, i z troską o schedę przypadającą jej własnym dzieciom, Suzanne nalegała, by Billy przeniósł się do domu Caldwellów.

Gdzieś między 1787 a 1791 rokiem chłopiec musiał porzucić zaciśnięte rodzinne i wieś Mohawków i przeprowadzić się do posiadłości Caldwellów w Amherstburgu, miejscowości leżącej obecnie po kanadyjskiej stronie rzeki Detroit. Dano mu tutaj podstawowe wykształcenie katolickie i zrobiono wszystko, żeby zrozumiał, że jako nieprawny syn może co najwyżej zarządzać rodzinną plantacją.

W owych czasach terenami nad rzeką Detroit rządili tacy ludzie jak Alexander McKee, Matthew Elliott, Simon Girty i jego własny ojciec, wszyscy weterani wojny rewolucyjnej, wierni poddani korony brytyjskiej i jednostki o niepomysłowych ambicjach. Przejął od nich wszystkie wyznawane na pograniczu wartości: niezachwianą wierność rodzinie, niezależność materialną, ciężką pracę, przyjęcie swego własnego miejsca w tworzącym się klasowym systemie społecznym i posłuszeństwo ustanowionej władzy. W ciągu dziesięciu lat dorastania w tym lojalistycznym środowisku Billy Caldwell coraz bardziej utożsa-

miał się z Anglo-Irlandczykami, z Caldwellami. Jak sam siebie określił w 1815 roku, stał się prawdziwym Anglikiem.

W wieku siedemnastu lat, mając w perspektywie pozostanie w domu Caldwellów jako posłuszny *famulus*, Billy postanowił poszukać szczęścia gdzie indziej. W 1797 roku, podobnie jak wielu jego anglo-irlandzkich rówieśników zaangażował się w handel futrami. Tak był początek jego czterdziestoletniej współpracy z twórcami handlu w okolicach Chicago. Jego pierwsi pracodawcy, Robert i Thomas Forsythowie handlowali z Indianami u południowego krańca jeziora Michigan. W 1803 roku Caldwell awansował na stanowisko pisarza w nowo założonej spółce Forsyth-Kinzie z placówką koło fortu Dearborn. Było to jakby jego pierwsze wygnanie z okolicy Chicago.

W następnym roku podczas handlowej przygody koło Niles w Michigan spotkał się z Alexandrem Robinsonem, w którym znalazł przyjaciela na całe życie. Również w Michigan, idąc za przykładem własnego ojca i większości innych handlarzy, wziął sobie żonę z najpotężniejszego plemienia z tych okolic. Katolicka neofitka imieniem La Nanette była siostrzenicą Szalonego Jesiotra, wodza Potawatomiczów z klanu Ryby zamieszkujących wioski nad rzeką Św. Józefa. La Nanette zmarła wkrótce po urodzeniu Caldwellowi jego pierwszego syna.

Ten ożenił się po raz drugi z córką Odżibuejki i swego pracodawcy Roberta Forsytha; następnego roku zmarła ona w połogu. Trzeci raz pojął za żonę dziewczynę, o której wiemy tylko, że była Francuzką. W tych wszystkich ożenkach można się łatwo dopatrzeć chęci nawiązania politycznych i gospodarczych sojuszków, jak również zajęcia wyższej pozycji w sztywnej strukturze klasowej tamtej epoki. Caldwell umocnił nimi swe stosunki z najważniejszymi grupami społecznymi z okolic Chicago: Indianami, Szkotami i Irlandczykami oraz francuskimi Kanadyjczykami.

Wiosną 1812 roku Billy Caldwell był już wpływowym kupcem i pośrednikiem między handlarzami a Indianami znad jeziora Michigan. Był też, oczywiście, lojalnym pod-

władnym swoich pracodawców Forsythów i Kinzie'ów.

Też wiosną John Kinzie zaszytyłetował przed palisadą fortu Dearborn swego współzawodnika, niejakiego Johna La Lime. W celu oczyszczenia pryncypała, jego zaufany urzędnik Caldwell udał się do rezydującego w Vincennes gubernatora Terytorium – Williama Henry'ego Harrisona. Na miejscu zastał Amerykanów pochłoniętych przygotowaniem do zbliżającej się wojny z Anglią. Jak później wspominał, od razu złożyli mu propozycję współpracy, przyznając bardzo wysoką pensję i koncesję na handel futrami. Ich wysiłki były jednak z góry skazane na niepowodzenie, gdyż zbyt długo już zachęcał zachodnie plemiona, by w sojuszu z Anglikami stawiały czoła najazdom Amerykanów. Sam znanadto kochał swą kanadyjską ojczyznę i rodzinę, żeby ulec tym pokusom.

Opuścił Vincennes zanim dotarła tam wieść o wypowiedzeniu wojny. Zastała go w Peorii, o czym świadczy jego podpis pod zawartą 15 lipca umową. Czy naprawdę ratował niedobitków ataku Potawatomiczów pod fortem Dearborn, w tym Kinzie'ów – na zawsze pozostanie tajemnicą. Caldwell najwidoczniej opowiedział tak Alexandrowi i Williamowi Robinsonom, ale Kinzie opowiadając o tych wypadkach, nie wspomina nazwiska Caldwellów.

Trzy kwestie nie ulegają jednak wątpliwości. Jeśli Caldwell rzeczywiście zjawił się na miejscu, to nie wyskoczył na brzeg z kanu, gdyż Potawatomi od dawna zarzucili je na rzecz konia. Po drugie, ocalenie rodziny Kinzie nie było szlachetnym czynkiem przyjaznego białym wodza Potawatomiczów, ale spełnieniem obowiązku lojalnego pracownika. I na koniec, jeżeli pojawił się tam 16 sierpnia, to mógł to uczynić bez obawy utraty życia, gdyż nastroje Potawatomiczów uległy zmianie, gdy zaczęli zastanawiać się nad konsekwencjami swych czynów.

Zgodnie ze swymi proangielskimi zapamiętaniami, zimą 1812-1813 roku udał się Caldwell do Amherstburga. Został tam ojcem pochłoniętego tworzeniem brygady rangerów podobnej do tej, w której służył podczas rewolucji. Starzec załatwił stopnie

oficerskie dla swych legalnych synów, lecz nie pomyślał o najstarszym. Pomimo to Billy został kapitanem w Brytyjskim Departamencie do Spraw Indian – paramilitarnej organizacji, w której przesłużył cztery lata. Chrzest bojowy przeszedł pod koniec 1813 roku nad rzeką Raisin, gdzie został ciężko ranny i otrzymał pochwałę na piśmie od swego zwierzchnika, generała Henry'ego Proctera. Później walczył pod fortami Megis i Stephenson, pod Moravian Town i w obronie Niagary.

W miarę jak zbliżał się koniec wojny, kapitan Caldwell pilnie zabiegał o zapewnienie sobie solidnej pozycji w Kanadzie. Z nastaniem pokoju w zredukowanym departamencie indiańskim pozostało tylko jedno wolne stanowisko, które mogło go zadowolić, a mianowicie – zastępcy inspektora Okręgu Zachodniego, rezydującego w Amherstburgu. Caldwell niezmiernie pragnął tego stanowiska, lecz wybór departamentu padł na jego ojca. Na zewnątrz szanując jego wybór, Caldwell w tajemniczy sposób się do popełnienia administracyjnego ojcobójstwa, sprzymierzając się z regularną armią, przeciw władzy cywilnej swego departamentu i ojca. Spisek zawiódł na całej linii: ani ojciec, ani syn nie otrzymali nominacji. Zamiast tego kapitan Billy wzbudził gniew departamentu indiańskiego i jego szefa, a swego długoletniego protektora, Williama Clausa. Ta nielejalność wobec rodziny i zwierzchników, w połączeniu z jego coraz bardziej widoczną niekompetencją w wykonywaniu przydzielonych mu zadań administracyjnych, przesądziła o jego dymisji. Wystąpił ze służby we wrześniu 1816 roku.

Caldwell nie pogodził się szybko z myślą o rezygnacji z pozycji wpływowej osobistości w górnej Kanadzie. Przez następne cztery lata pobytu w Amherstburgu pilnie zabiegał o zdobycie kapitału, stałego dochodu i stanowiska dla siebie i swej rodziny. Żadne z tych przedsięwzięć nie przyniosło mu sukcesu. Rok po roku spotykały go zawody, jeden boleśniejszy od drugiego. Nie powiodła się spekulacja ziemią, ani interesy w handlu. Potem, w 1818 roku

sędziwy William Caldwell starszy zasiał do pisania testamentu. W tym dokumencie uznaje Billy'ego za swego najstarszego syna, lecz tylko po to, żeby go wydziedziczyć. Na domiar złego, dawny przyjaciel, William Claus odpisał na prośbę o pomoc, że nie może już niczego odeń oczekiwać. Wiosną 1819 roku Billy Caldwell znalazł się bez pracy z niewesołymi widokami na przyszłość w angielskiej Kanadzie.

Nigdzie nie udokumentowano, jak spędził następne dwanaście miesięcy. W 1820 powrócił do Chicago, wbrew sercu, wyrzucony z ojczyzny przez okoliczności i własne wady. Zawsze jednak darzył sentymentem swój dom i środowisko w Amherstburgu i aż do śmierci regularnie pisywał z mieszkającymi tam braćmi.

Billy Caldwell zawiązał do Chicago nie mając nic prócz intelektu i ambicji zdolności kupca-przedsiębiorcy, dwudziestu jeden lat doświadczeń z Indianami, kontaktów ze szkocko-irlandzką elitą Chicago i znanego powszechnie wpływu na Ottawów, Odżibuejów i Potawatomiczów z północnego Illinois. W latach dwudziestych potencjalne bogactwo okolic Chicago wiązało się z transakcjami prowadzonymi z Indianami. Nieznaczny wysiłek ze strony obrotnych ludzi podczas układów z plemionami wciąż zamleszkującymi nad jeziorem Michigan mógł im przynieść niezłą fortunę. Na tereny te – własność skonfederowanych Potawatomiczów, Odżibuejów i Ottawów – pożądlwie spoglądali rolnicy amerykańscy.

Początkowo całe zachowanie Caldwellów wskazywało na to, że zamierza się prowadzić w Chicago tak jak w Amherstburgu. Nic nie świadczy o tym, by podawał się za indiańskiego wodza. Zachowywał się jak lojalny, budzący zaufanie obywatel amerykański oraz wykształcony, doświadczony i ambitny handlowiec. W 1825 roku ubiegał się o stanowisko sędziego pokoju. Podczas wyborów w roku następnym był członkiem komisji wyborczej, znanym kupcem i rzeczoznawcą majątkowym. W 1827 roku położył pewne zasługi podczas misji wywiadowczej, mającej zbadać nastroje Winnebagów grożących powstaniem. Przez

wszystkie te lata wraz z Forsythami, Kinzie'ami i Wolcottami trudził się handlem z Indianami. W 1829 roku w obliczu nadchodzącego traktatu w Prairie du Chien ludzie ci postarali się, by wystąpił jako mianowany przez Amerykanów wódz Potawatomich.

Posunięcie to wiąże się z matactwami towarzyszącymi układom z Indianami. Formalnie rzecz biorąc, ziemie Potawatomich w Illinois miały przejść od razu i bezpośrednio w ręce rządu federalnego. W rzeczywistości ogromne bogactwa przypadły ludziom będącym na miejscu i potrafiącym wykorzystać okazję. Stworzył ją głównie punkt układu mówiący o tym, że duże połacie ziemi przysługują się w pierwszym rządzie jednostkom związanym z Indianami pokrewieństwem lub adopcją. Jako wódz z ramienia Amerykanów Caldwell dopiłnował, by wśród nich znaleźli się jego przyjaciele, wspólnicy i pracodawcy.

Oczywiście większość zapłat za ziemie – tak w gotówce, jak i w towarach wartości milionów dolarów – nigdy nie dotarła do rąk Potawatomich. Szła wprost do amerykańskich mężów zaufania i tutaj Caldwell znów miał sposobność przysłużenia się swym zwierzchnikom i przyjaciółom.

Łapówką w postaci dwóch działów najlepszej ziemi w Chicago, co załatwił podczas układu w 1833 roku, naklonił Marka Beaubien, żeby pierwszy hotel w mieście nazwał „Sauganash” na jego cześć. W nazwaniu tak słynnego hotelu tkwi niezamierzona ironia, gdyż Sauganash nie było indiańskim imieniem Caldwell; to w ogóle nie jest imię w języku Potawatomich. Tym słowem określali oni mówiących po angielsku Kanadyjczyków, a więc Caldwell w swoim interesie sprawił, że pierwszy hotel w Chicago nazwano „Angielskim Zajazdem”.

Znamienne, że nic nie wiadomo aby Caldwell, Mohawk – jak chce matrylinearny obyczaj współplemieńców jego matki – próbował handlować w oparciu o łączące go tam stosunki; nie miało to znaczenia dla jego pracodawców z Chicago. Podobnie nie ma żadnych dowodów na to, że jego przynależność do Potawatomich opierała się na

formalnej adopcji w myśl plemiennych zwyczajów. Niemniej przywódcy Potawatomich zgodzili się na jego „wodzostwo”, gdyż do jego obowiązków należało pilnowanie ich interesów podczas negocjacji z białymi. W latach trzydziestych musiał stawić czoła niezwykle bolesnemu dylematowi: czy przy pełnieniu swych nowych obowiązków bardziej pilnować interesów swych mocodawców, przedsięwzięci z Chicago, czy też swoich właściwych klientów, Potawatomich?

Caldwell nie był bynajmniej jedyną osobą o zagadkowym pochodzeniu, która w tym okresie mogła pełnić rolę Indianina. Dołączyli doń liczni oszuści, a wśród nich synowie, córki, przyjaciele i znajomi wielu kupców, a także państwowych, terytorialnych i stanowych urzędników. Wszystkich ich podczas traktatów wymieniano jako Indian z racji wzięwów krwi, adopcji lub zwykłego pomówienia i wszyscy pobierali gotówkę bądź odpowiedni kawał ziemi.

W 1830 roku Billy Caldwell stał się obszarnikiem zaangażowanym w handlu nieruchomościami. Rok później działał aktywnie na rzecz kształcenia młodzieży indiańskiej w Illinois w ramach programu cywilizowania Indian, tak popularnego w ówczesnej Ameryce. W 1833 roku przyczynił się do założenia pierwszego w Chicago kościoła katolickiego. W roku tym dobiegła też końca jego kariera w północnym Illinois, kiedy ostatecznie podpisano układ w Chicago.

Był to ostatni wielki układ z Indianami na tych obszarach. Na jego mocy ostatnie, niezwykle urodzajne ziemie będące w rękach Indian przeszły w ręce Amerykanów. Caldwell, który został wyznaczony na wodza, celem doprowadzenia do takich transakcji, wywłazał się ze swego zadania aż za dobrze. Po zatwierdzeniu układu kombinatory z Chicago nie potrzebowali już jego usług i Billy Caldwell znów pozostał osobą bez pracy i o wątpliwej reputacji.

Obsesyjnie nękały go wątpliwości co do własnych dokonań i wartości swej osoby. *Ach, jak płynie ten czas* – pisał do Thomasa Forsytha w liście w 1832 roku. – *Kiedy patrzę wstecz, widzę jak szybko minęła młodość, a teraz – mając już ponad pięć-*

dziesiąt lat – nie dokonałem niczego znaczącego. Zdaje się, że nigdy nie odegram roli, do jakiej zostałem stworzony. Zbyt wiele sprzeczných ról grał przed zbyt wiele wymagającymi i wrogimi sobie widowniami.

Ponieważ nie sposób było zaspokoić roszczenia wszystkich chcących się wzbogacić przy zawieraniu układów, więc Billy narobił sobie wrogów i nie zadowolili w pełni swych mocodawców. Oskarżano go o niełajność i różnego rodzaju wykroczenia. *Niewątpliwie doszły cię krążące o mnie plotki – pisał do swego brata, Francis – lecz najzupełniej nie dbam o nie. Mówłem ci już, że nie chciałbym być politycznym Indianinem ani chwili dłużej, gdyby nie miało to służyć moim czerwonym braciom, a chcę ich zabrać stąd, z tego miejsca zagłady, za Missisipi.*

Wypadki, jakie miały miejsce przy zawieraniu układu dokonały głębokich przemian w jego świadomości. Pojął w pełni, że roli politycznego Indianina podjął się dla niskich, przyziemnych celów. Teraz zaczął się przedstawiać jako opiekun i rzecznik Potawatomich z Preril.

Tę rolę odgrywał przez siedem pozostałych mu lat życia. Zatrudniając kapitana Billyego jako swego rzecznika Kinzie'owie i Forsythowie nie uczynili nic, aby zapewnić mu uznanie, bezpieczeństwo i poczucie satysfakcji z wykonywanej pracy, potrzebne do wytrwania na tym stanowisku. Potawatomi zaś wabili go i zapraszali do siebie, darzyli szacunkiem i podziwem, sławili i nagradzali za jego usługi. Billy Caldwell stał się pośrednikiem między dwoma kulturami, który diametralnie zmienił zaprawiania służąc swym talentem ludziom, których miał za zadanie wykorzystywać.

Jeden z warunków układu w Chicago zobowiązywał Potawatomich do szybkiego opuszczenia Illinois i Wisconsin i zamieszkania w wielkim rezerwacie na wschodnim brzegu Missouri. Emigracja rozpoczęła się w 1835 roku, a dwa lata później Caldwell osiadł w Council Bluffs w Iowa. W sąsiedztwie, nad dopływami Missouri stały wioski jego starych przyjaciół i klientów: Abtekizheka (Połowy Domu), Wabanslego

(Poranka), Miyamise'ego (Młodego Maja-ma), Padekosheka (Stosu Ołowiu) i Make-sita (Wielkiej Stopy).

Przez resztę życia Caldwell pozostawał niemal cały czas w konflikcie z amerykańskimi urzędnikami głównie z agentami do spraw Indian, inspektorami i komisarzami nalegającymi na członków Grupy Preryjnej, aby znów zrzekli się swych ziem i przenieśli na terytorium Kansas. Dla wodzów i starszyzny Potawatomich był tarczą chroniącą ich od nowej agresji. Z jego pomocą udało im się odwiec zawarcie następnego układu o pełne dziesięć lat.

Wiedząc doskonale, z kim mają do czynienia, amerykańscy agenci nazywali Caldwell'a po roku 1835 zawodowym wodzem Grupy Preryjnej. Określenie to jest bardzo bliskie prawdy, gdyż Sauganash jako pierwszy wystąpił w roli, którą powszechnie zaczęto grać dopiero kilka lat po jego śmierci.

W zależności od sytuacji działał jako kontrahent, administrator, adwokat, doradca i główny przedstawiciel Indian w ich stosunkach z rządem Stanów Zjednoczonych.

Caldwell zmarł na cholerę 27 września 1841 roku. Ostatnie lata życia zakłócały mu starość, niedołęstwo, dające znać o sobie stare rany i skłonność do alkoholu. Żaden ksiądz nie przybył doń z ostatnią posługą, gdyż małą misję w Council Bluffs zamknęto parę tygodni wcześniej. Przeżył wszystkie swe liczne dzieci. W ostatnich dniach towarzyszyli mu tylko żona, kilku starych przyjaciół Potawatomich oraz domownik klanu Caldwellów wysłany na zachód przez jego kanadyjskie rodzeństwo, żeby sprawdził rozmiary, wartość i możliwości otrzymania części tego, co brano za ogromne włości Sauganasha w Chicago.

Śmierć jego odbiła się szerokim echem. Radość amerykańskich urzędników nie miała granic. Z odejściem Caldwell'a przewidywali rychły koniec oporu Potawatomich wobec podpisania nowego układu. Byli w błędzie. Starszyzna Grupy Preryjnej natychmiast zaczęła szukać jego następcy, Amerykanina o podobnych skłonnościach i talentach, którego usługi mogliby kupić.

Wkrótce po śmierci Sauganasha tradycyjni *wkamek*² Potawatomi złożyli najwyższy hołd swemu staremu przyjacielowi i doradcy. Listę ich propozycji, przesłaną amerykańskiemu agentom, otwierało żądanie by odtąd oficjalnie nazywać ich, „Preryjniymi Indianami z Grupy Potawatomi Caldwell”.

James A. Clifton

Przetłumaczył Aleksander Sudak

Przypisy:

1. Mitchisebe to Missisipi w języku Potawatomi.
2. *Wkamek* to liczba mnoga od *wkama* co znaczy przywódca w języku Potawatomi.

Powyższy artykuł pod tytułem „Billy Caldwell's Exile in Early Chicago” ukazał się zimą 1977-1978 roku w *Chicago History*.



ZNANI I NIEZNANI

POTAWATOMI

znaczy „ludzie miejsca ognia”, stąd czasami znani są jako **Naród Ognia**.

Zwani także:

Atsistarhonon – przez Huronów

Kúnu-háyanu – przez Caddo, co znaczy „ludzie arbuzy”

Ndatonmatendi, Undatoma'tendi – przez Huronów

Peki'neni – przez Lisów, co znaczy „ludzie kuropatwy”

Teashtalálgí – przez plemiona Krik, co znaczy „ludzie arbuzy”

Wah-ho-na-hah – przez Miami, co znaczy „twórcy ognia”

Wahivaxa – przez Omaha

Wáhiúyaha – przez Kansa

Woraxa – przez Iowa, Oto i Missouri

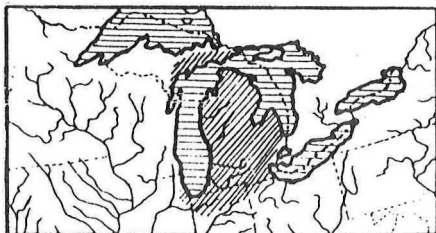
Woráxé – przez Winnebago

Język: Potawatomi należą do **algonkińskiej** rodzinnej językowej i są bardzo blisko spokrewnieni z Chippewa i Ottawa.

story: The Magazine of the Chicago Historical Society Vol. 6, No. 4. Przekład i publikacja na łamach „Tawacinu” za uprzejmą zgodą Autora.

Profesor James A. Clifton jest wybitnym amerykańskim antropologiem i etnohistorykiem. Specjalizuje się w historii Potawatomi, Ottawów i Wyandotów oraz w historii wzajemnych relacji między narodami. Jest współtwórcą 20-tomowej *Encyklopedii Indian Ameryki Północnej*. Z jego licznych książek wymienić należy: *Being and Becoming Indian*, *The Invented Indian*, *The Prairie People: Continuity and Change in Potawatomi Indian Culture 1665-1965* oraz *The Pokagons 1683-1983: Catholic Potawatomi Indians of the St. Joseph River Valley*. Wcześniej jego artykuł „Z miłości do historii” (o filmie *Tańczący z Wilkami*) zamieściliśmy w numerze 4(24) z 1993.

Rozmieszczenie: zamieszkiwali pomiędzy dwoma jeziorami Michigan i Huron, czyli całą dolną część obecnego stanu Michigan.



Podział: Dopiero w późniejszej historii Potawatomi zaczęto ich dzielić na oddzielne grupy, lecz nie opierano się na starych, dobrze zdefiniowanych klasyfikacjach.

Wioski: *Abercronk* (prawdopodobnie Potawatomi), *Assiminehkon* (j.w.), *Chichtpé Outtipé*, *Chitpoy*, *Macon*, *Macousin*, *Manga-chqua*, *Maquanago* (j.w.), *Mickkesawbee*, *Milwaukee* (z *Fox* i *Mascouten*), *Muskwawasepeotan*, *Natowasepe*, *Pokagon*, *Prairie Ronde*, *Saint Joseph* (misja), *Saint Michael*

(misja), *Sawmehnaug*, *Tassinong* (prawdopodobnie Potawatomi), *Wanatah* i *Wonongoseak* (j.w.).

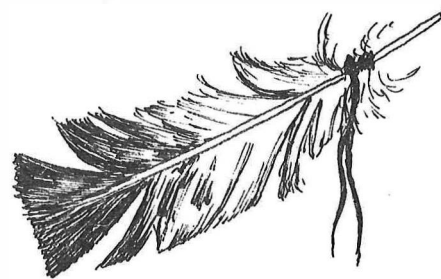
Wioski, których nazwy pochodzą od imion: *Ashkum*, *Aubbeaubbee*, *Checkawkose*, *Chekase*, *Comoza*, *Kinkash*, *Masac*, *Matchebenashsheutish*, *Maukekose*, *Menominee*, *Menoquet*, *Mesheketeno*, *Mesquawbuck*, *Mlnemaung*, *Mota*, *Nayonsay*, *Pierish*, *Rum*, *Seginsavln*, *Shaytee*, *Shobonlar*, *Topenebee*, *Walsuskuck*, *Wlmeo* i *Wlnamac* oraz wioski: *Mała Skala* (*Little Rock*), *Skala* (*Rock*) i *Żołnierz* (*Soldier*).

Historia: Krótco przed spotkaniem z Francuzami Potawatomi mieszkali w dolnej części półwyspu Michigan. W 1670 roku znajdowali się w sąsiedztwie Zatoki Zielonej (*Green Bay*) w zachodniej części jeziora Michigan, skąd powoli przesuwali się na południe aż do końca tego stulecia. Osiedlili się nad rzeką Milwaukee w Chicago i nad rzeką St. Joseph. Po podboju Indian ze stanu Illinois około 1765 roku zasiedlili tereny na północy obecnego stanu Illinois. Po 1795 roku opuścili Wabash i zajęli tereny aż do Pine Creek. Aktywnie włączyli się do walki Francuzów przeciw Anglikom, a następnie przyłączyli się do Anglików przeciwko Amerykanom aż do ustanowienia pokoju około 1815 roku. Kiedy na terenach sąsiadujących z ziemią Potawatomi powiększała się liczba białych osiedleńców, stopniowo dzielili się z nimi swą ziemią. Najwięcej ziemi odstąpili w latach 1836-41. Preryjna część Potawatomi powróciła do stanu Wisconsin, podczas gdy inna grupa pozostała w dolnym Michigan. Niewielka ich część uciekła do Kanady i żyje do dzisiaj na wyspie Walpole w okręgu St. Clair. Część Potawatomi żyjąca w stanie Wisconsin sprzedała swe ziemie i otrzymała w zamian rezerwat w południowo-zachodniej części stanu Iowa. Otrzymali oni nazwę Potawatomi Preryjnych. W 1846 roku pozbył się też swego terytorium w Iowa i w 1847-48 przeszli do Kansas, gdzie osiedlili się dokładnie na wschód od Potawatomi Leśnych, którzy przyszl tam ze stanu Indiana w 1840 roku zajmując rezerwat

nad rzeką Osage w Kansas. W 1846 Potawatomi Leśni wycofali się jednak i w następnych latach osiedlili się pomiędzy Indianami Shawnee i Delaware w obecnym okręgu Shawnee. Potawatomi Preryjni pozostali w Kansas i otrzymali tam ogródki działkowe, a Potawatomi Leśni przeniesli się w latach 1869-71 do nowego rezerwatu w Oklahomie, w pobliżu Indian Kickapoo. Część towarzyszyła Kickapoo w wędrówce do Meksyku.

Liczebność: Mooney oszacował Potawatomi na cztery tysiące osób w roku 1650. Wszystkie szacunki na lata 1765-1843 podają liczbę od 1 200 do 3 400 osób. W 1908 roku w Stanach Zjednoczonych zanotowano 2 522 Potawatomi: Potawatomi Citizen w Oklahomie – 1 768; Preryjna grupa w Kansas – 676; Potawatomi Huron w okręgu Calhoun w stanie Michigan – 78. W Kanadzie wszyscy Potawatomi żyjący w prowincji Ontario liczyli około 220 osób, w tym 176 tych, którzy żyli z Chippewa i Ottawa na wyspie Walpole. Pozostała część rozmieszczona była pomiędzy Caradoc i Rivière aux Sables, gdzie znajdują się za pozwoleniem Indian Chippewa i Munsee. Spis ludności przeprowadzony w USA w 1910 roku podaje liczbę 2 440 Potawatomi, z których 866 żyło w Oklahomie, 619 w Kansas, 461 w Michigan i 245 w Wisconsin, a pozostała część rozslana była w jedenastu innych stanach. W 1937 było ich 1 42 w Michigan, 311 w Wisconsin, 1 013 w Kansas i 2 667 w Oklahomie. Ogółem 4 133 osoby.

Miś



DEKADA LUDNOŚCI TUBYLCZEJ

1995 – 2004

Trudna sytuacja ludności tubylczej świata, której liczebność szacuje się na trzysta milionów w ponad siedemdziesięciu krajach, stała się jednym z podstawowych tematów zainteresowania społeczności międzynarodowej.

Potomkowie pierwszych znanych istot ludzkich poszczególnych regionów, od Amazonii aż po arktyczne Koło Polarne, wiedli niegdyś odizolowane życie w wolności, która pozwalała im na posiadanie odmienności kulturowej, religijnej oraz własnych form organizacji ekonomicznej i społecznej.

Współczesny, przemysłowy świat zmienił tę sytuację. Grabieni przez świat współczesny, potrzebujący źródeł energii, minerałów, drewna, ziem uprawnych miliony ludności tubylczej są zagrożone zanikami w wyniku utraty własnej tożsamości.

Spychano ich – jak to określił Sekretarz Generalny ONZ, Boutros Ghali – „na margines życia narodowego i międzynarodowego”.

Mimo to, słyszy się ich głosy. Ich interesy znalazły miejsce w programie Konferencji ONZ na temat Środowiska Naturalnego i Rozwoju (tzw. Szczyt Ziemi), który odbył się w czerwcu 1992 roku w Rio. Na tym Szczyście państwa uznały za konieczne przyznanie, że ludność tubylcza posiadała swoje wartości, terytoria, tradycyjną wiedzę i prawo do istnienia. Przyznano również, że ludność tubylcza utrzymuje pewien specyficzny związek z naszą planetą; jej znajomość ekologii i systemy rolnicze zwykły spełniać swoistą funkcję życiową popierającą rozwój. Na początku 1993 roku, Międzynarodowego Roku Ludności Tubylczej Świata, ONZ zaczęła tworzyć nowe związki celem pobudzenia wysiłków świata do wnoszenia wkładu w podejmowanie pro-

blemów ludności tubylczej w takich dziedzinach jak: środowisko naturalne, rozwój, oświata i ochrona zdrowia. Na Konferencji Praw Człowieka ONZ w Wiedniu, w 1993 roku, zalecono, aby Międzynarodowy Rok Ludności Tubylczej Świata przekształcił się w Dekadę oraz aby powstało stałe forum do spraw ludności tubylczej.

9 grudnia 1994 roku rozpoczęła się Dekada Ludności Tubylczej Świata (1995-2004), proklamowana przez Organizację Narodów Zjednoczonych w rezolucji nr 48/163. Podstawowym celem Dekady, której motto brzmi: *Ludność tubylcza – nowe partnerstwo*, jest kontynuacja tworzenia więzi między ludnością tubylczą, a społecznością międzynarodową, rozpoczętego podczas mijającego Roku Ludności Tubylczej. Dekada będzie chronologicznym wzorcem służącym wzbogacaniu wyników i wiedzy osiągniętej dotychczas. W mowie wprowadzającej ogłoszenie Międzynarodowego Roku, Sekretarz Generalny położył nacisk na potrzebę międzynarodowej współpracy: „Uważam, że Międzynarodowy Rok będzie punktem wyjścia dla dwóch relacji; jedna to związek ludności tubylczej z państwami, a druga to związek tubylców z ONZ. Jedność w różnorodności to jedność prawdziwa i trwała.” Tam zostały zasłane ziarna nowych więzi, które opierałyby się na sprawiedliwości, szacunku i wzajemnym zrozumieniu; więzi, które pozwoliłyby prowadzić narady z ludnością tubylczą i umożliwić jej aktywniejszy udział w procesach podejmowania decyzji dotyczących ich życia.

W walce o uzyskanie szacunku dla swoich form życia, ludność tubylcza zorganizowała się na poziomie lokalnym, narodowym i regionalnym. Walka ta doczekała się

teraz uznania na płaszczyźnie międzynarodowej. Sekretarz Generalny uważa, że sprawa ludności tubylczej związana jest z olbrzymią większością tematów programu ONZ.

„Jeśli podchodzimy poważnie do postępu w udziale politycznym i prawach ludzkich – powiedzmy – musimy podejmować temat sytuacji ludności tubylczej... Jedno jest oczywiste: prawa człowieka i społeczności tubylczych będą rozwijać się lepiej w atmosferze wzajemnego szacunku i tolerancji.”

Projekt deklaracji praw ludności tubylczej

Wysiłki społeczności międzynarodowej dla poparcia sprawy ludności tubylczej osiągnęły szczyt podczas przygotowywania przez grupę Roboczą ONZ do Spraw Ludności Tubylczej i podgrupę Komisji Praw Człowieka ONZ, projektu deklaracji praw ludności tubylczej. W projekcie deklaracji, który został przedstawiony do zatwierdzenia Zgromadzeniu Ogólnemu za pośrednictwem Komisji Praw Człowieka, uznaje się dążenia i potrzeby ludności tubylczej oraz domaga się od państw respektowania i wykonywania wszystkich aktów prawnych, uchwalonych przez obie strony. Po przyjęciu, projekt deklaracji stanowił będzie duże osiągnięcie dla społeczności tubylczych, ponieważ zostaną uznane ich podstawowe prawa ludzkie oraz fundamentalne swobody, mające istotne znaczenie, a negowane przez stulecia. Włączenie tych praw do ustawodawstwa poszczególnych państw, jak również ich praktyczna realizacja, będzie ważnym osiągnięciem w walce ludności tubylczej. W projekcie deklaracji kładzie się nacisk m.in. na:

- Prawo ludności tubylczej do wolności i równości wobec pozostałych członków społeczeństwa.
- Prawo do swobodnego decydowania w zakresie wolnego określenia stosunków z Państwami i rodzaju polityki, wolnego rozwoju ekonomicznego, społecznego i kulturalnego.
- Prawo ludności tubylczej do swych ziem, terytoriów i surowców.

• Prawo do zachowania tożsamości i cech charakterystycznych, jakie ją wyróżniają.

Związek ludności tubylczej z państwami

Od czasu proklamacji Międzynarodowego Roku obserwuje się rosnącą tendencję do uznawania i akceptowania odmienności kulturowej ludności tubylczej. Z każdym dniem wzrasta liczba rządów uznających żądania tej ludności oraz próbujących wypracować rozporządzenia popierające jej prawa. Miały miejsce konsultacje z ludnością tubylczą na temat ochrony zdrowia, edukacji, produkcji rolnej, sztuki i rzemiosła, wytyczania granic terytoriów oraz stref tubylczego górnictwa. Położono nacisk na udział ludności tubylczej w poszukiwaniu rozwiązań problemów w dziedzinie praw ludzkich, środowiska naturalnego i rozwoju. W większości krajów zamieszkiwanych przez ludność tubylczą organizacje pozarządowe, w czasie Międzynarodowego Roku, rozwinęły intensywną działalność. Na całym świecie ludność tubylcza wykorzystwała tę unikalną możliwość do zintensyfikowania kampanii na rzecz uznania jej praw obywatelskich, politycznych, kulturalnych, ekonomicznych i społecznych.

• W Australii jednym z podstawowych osiągnięć ludności tubylczej było zatwierdzenie w 1993 roku przez Parlament Prawa Własności ludności autochtonicznej, w którym przyznaje się, że Australia nie była *terra nullius*, czyli ziemią niczyją w czasie przybycia tam w XVIII wieku Brytyjczyków, celem jej kolonizacji.

• W Kolumbii powstał stały Komitet Praw Człowieka do spraw Tubylczych oraz utworzono radę zajmującą się udzielaniem pomocy i nadzorowaniem wydobywania kopalin na terytoriach tubylczych. Rząd udzielił pomocy prawnej społecznościom tubylczym w ich negocjacjach z prywatnymi przedsiębiorstwami eksploatującymi surowce mineralne na ich terytoriach.

• W Nowej Zelandii rząd udzielił wsparcia wielu inicjatywom Maorysów w dziedzinie

nie opieki zdrowotnej, edukacji, środowiska naturalnego oraz udzielił pomocy finansowej związanej z tymi przedsięwzięciami.

- W Szwecji Parlament ludności tubylczej Saamów (Lapończyków), utworzony jako grupa doradcza, zorganizował w 1993 roku swoje pierwsze wybory. Parlament sprawuje ważną funkcję w formułowaniu polityki dotyczącej spraw tubylczych.

Reakcja ONZ

Organizacja Narodów Zjednoczonych rozwinęła intensywną działalność na rzecz poprawy warunków życia ludności tubylczej. W zeszłym roku, kiedy doprowadzono do końca projekty rozwoju, które jak się przypuszcza, poprawiały sytuację ludności tubylczej, organizacje międzynarodowe zwykły przemilczać elementy decydujące, takie jak: organizacja i przedstawicielstwo władz w społeczności, bezpieczeństwo terytorialne i tożsamość kulturowa społeczności. W praktyce stosuje się nową strategię i społeczność międzynarodowa koncentruje teraz swą uwagę na rozwoju na własny rachunek. Koncepcja ta próbuje przede wszystkim ustanowić równowagę między zachowaniem i umocnieniem tożsamości kulturowej ludności tubylczej, a poprawą sytuacji ekonomicznej.

- W Meksyku Międzynarodowy Fundusz Rozwoju Rolnictwa (FIDA) wprowadza w życie projekt przeznaczony na rzecz „Rozwoju społeczności tubylczej stanu Puebla”. Jednym z celów tego projektu jest umocnienie bazy znajdującej się obecnie w rękach ludności tubylczej. FIDA oferuje własną specjalistyczną wiedzę i ściśle współpracuje z Narodowym Instytutem Indian (INI), zajmującym się wieloma projektami kulturalnymi i społecznymi. Projekt w Pueblu utworzony został przez Fundusz Solidarności Regionalnej sprzyjający uczestnictwu ludności tubylczej w tym projekcie. Fundusz, administrowany przez samą ludność tubylczą, podejmuje starania o uzyskanie kredytów, zatwierdza kredyty oraz czuwa nad odzyskaniem

pożyczek. Kontrola, jaką sprawują nad swymi własnymi funduszami, pozwala ludności tubylczej mieć poważny udział w podejmowaniu decyzji związanych z tym projektem.

- Międzynarodowa Organizacja Pracy była pierwszą organizacją w systemie ONZ, która próbowała poprawiać sytuację ludności tubylczej i plemiennej i dlatego zatwierdziła dwa międzynarodowe akty prawne, dotyczące konkretnie ludności tubylczej i plemiennej. Są to konwencje MOP nr 107 i 109. Konwencja nr 107 z 1957 roku popiera integrację ludności tubylczej, a konwencja nr 109 z 1989 roku opiera się na poszanowaniu odmienności kulturowej i apeluje do państwa, aby korzystały z udziału ludności tubylczej i plemiennej w sprawach czy projektach dotyczących jej życia. MOP nie ustanowiła norm lecz stworzyła mechanizm, który czuwa aby kraje, które ratyfikowały te konwencje, realizowały je w praktyce.

Za pośrednictwem programów pomocy technicznej, MOP udziela pomocy w redagowaniu praw ludności tubylczej w Federacji Rosyjskiej oraz pomaga rządowi Gwatemali nadać bieg polityce i mechanizmom instytucjonalnym w celu rozwiązania problemów, z jakimi boryka się ludność tubylcza tego kraju.

- Organizacja NZ do spraw Rozwoju Przemysłowego (UNIDO) udziela pomocy technicznej ludności tubylczej i promuje wewnętrzną wymianę wiedzy i doświadczeń. Na przykład UNIDO we współpracy z Organizacją NZ do spraw Oświaty, Nauki i Kultury (UNESCO) zorganizowały spotkanie przywódców Majów z naukowcami, wychowawcami i przedstawicielami organizacji międzynarodowych celem ustalenia kryteriów rozwoju i utworzenia projektu regionalnego, przy udziale pięciu krajów, w których żyją Majowie.

- Bank Światowy został zobowiązany do nieuczestniczenia w projektach godzących w tradycyjne terytoria ludności tubylczej, jeśli nie zapewniają one wystarczającej ochrony ziemiom tubylczym. Popiera się także udział ludności tubylczej do możli-

wości korzystania z przywilejów socjalnych i ekonomicznych wynikających z procesu rozwoju.

Międzynarodowy Rok: zdobyte doświadczenia

Wysiłki podejmowane na rzecz ludności tubylczej doprowadziły do ogłoszenia na forum Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych roku 1993 jako Międzynarodowego Roku Ludności Tubylczej Świata, co stworzyło ludności tubylczej wyjątkową okazję do promowania swych praw przed społecznością światową.

Podstawowym celem Międzynarodowego Roku było umocnienie współpracy światowej w rozwiązywaniu problemów, obarczających ludność tubylczą, takich jak prawa człowieka, środowisko naturalne, rozwój, oświata i ochrona zdrowia.

Utworzono także specjalną fundację dobrowolnych wpłat na rzecz wspierania projektów przeznaczonych na konkretne przedsięwzięcia w Międzynarodowym Roku.

Wzrost wrażliwości społeczności światowej na sytuację ludności tubylczej i poszerzenie wiedzy ludności tubylczej o systemie ONZ to także istotne zadania Międzynarodowego Roku. Odbłyły się spotkania kobiet, młodzieży i starszyzny rad plemiennych ludności tubylczej, na których rozpatrywano sprawy ich interesujące, czyli zachowanie własnej kultury, praw, ziemi, lasów, ochrona środowiska naturalnego, oświata, służba zdrowia.

W okresie jednego roku poświęconego ludności tubylczej świata, sami tubylcy i wielu nie-tubylców podejmowało z powodzeniem liczne działania na rzecz stworzenia nowego związku.

Dekada i przyszłość

Dekada Ludności Tubylczej Świata (1995-2004) będzie okazją aby ONZ, rządy i wszyscy główni bohaterowie podjęli wyzwanie, które stoi przed nimi i ponowili zaangażowanie na rzecz poparcia i ochrony praw człowieka ludności tubylczej. Rządy i ciała

międzynarodowe powinny w takim samym stopniu zagwarantować, aby sprawa ludności tubylczej zaistniała w ich programach, aby przyjęto rozwiązania leżące w interesie tej ludności i opracowano konstruktywny sposób osiągnięcia celów Dekady.

Dekada przyczyni się do wyeliminowania niektórych braków zaobserwowanych podczas Międzynarodowego Roku:

- Potrzeba udoskonalenia sieci informacyjnej aby ludność tubylcza mogła otrzymać należytą informację. Podnoszone są pewne kwestie związane ze strategią rozpowszechniania informacji, na przykład: najlepszy sposób rozpowszechniania informacji wysyłanych do ludności tubylczej, która w większości przypadków żyje na terenach bardzo odległych. Większość dokumentów musi być tłumaczona na rodzime języki, aby informacja mogła dać zamierzone rezultaty.

- Potrzeba wyasygnowania przez organizacje międzynarodowe, rządy, organizacje pozarządowe i sektor prywatny środków na sfinansowanie projektów.

- Potrzeba umożliwienia ludności tubylczej udziału w programach ich dotyczących, a także podjęcia konsultacji na temat tych projektów rozwoju, które dotyczą tubylców.

W czasie Dekady przyznany zostanie priorytet w nowym dokumencie ludów tubylczych w podejmowaniu decyzji i korzystaniu z działalności programów rozwoju w obrębie państw, regionów i na arenie międzynarodowej. Podstawą wszelkiej działalności powinna być kooperacja, konsultacja i pełny udział ludności tubylczej w planowaniu, wykonywaniu i ocenie projektów rozwoju jej dotyczących. Powinno się zatrudniać większą liczbę urzędników tubylczych we wszystkich biurach i organizacjach należących do ONZ. Grupa Robocza do spraw Ludności Tubylczej akcentuje ważność zagwarantowania środków finansowych i siły ludzkiej, wystarczających dla osiągnięcia założonych celów Dekady i satysfakcjonującej realizacji przedsięwzięć znajdujących się w Programie akcji.

Zaproponowano aby funduszem dobro-
wolnych dotacji zarządzali przedstawiciele
ludności tubylczej oraz innego pocho-
dzenia.

Na swym ostatnim spotkaniu Grupa
Robocza do spraw Ludności Tubylczej za-
proponowała, aby Zgromadzenie Narodo-
we proklamowało Międzynarodowy Dzień
Ludności Tubylczej, który obchodzono by
9 sierpnia. Dzień ten upamiętnia datę,
kiedy ONZ uznało ludność tubylczą i jej
walkę o godność. Jest to bowiem rocznica
pierwszego spotkania Grupy Roboczej do
spraw Ludności Tubylczej, które odbyło się
w 1982 roku.

Innym z tematów Dekady jest zalecenie
utworzenia stałego forum w obrębie ONZ,
w którym zasiadałaby równoliczna przed-
stawiciele tubylczych i nie-tubylczych.
Przewiduje się, że forum będzie pełnić waż-
ną funkcję koordynacji działań na rzecz
rozwoju i innych spraw.

Najlepiej oddała to w swojej wypowiedzi
Ingrid Washinawatok, przewodnicząca
Komitetu organizacji pozarządowych na
ONZetowską Międzynarodową Dekadę

Ludności Tubylczej Świata, podczas 47 do-
rocznej Konferencji Departamentu Infor-
macji Publicznej i organizacji pozarządo-
wych (Nowy Jork, 20-22 września 1994):
Musimy przerwać milczenie naszych naro-
dów. Przerwijmy to milczenie i przemówmy
do świata. Po tym jednym roku poświęco-
nym przez społeczność międzynarodową
interesom ludności tubylczej, uważa ona,
że jego posłanie nie dotarło jeszcze do
wszystkich zakątków. Ludy tubylcze mają
jednak wolę i determinację dalszej pracy,
aby ich głosy były słyszane wszędzie, aby
otwierano drogę komunikacji ze społecz-
nością międzynarodową, aby ich lepiej ro-
zumiano i aby wreszcie uczestniczyli jako
pełni członkowie na pełnych prawach we
współczesnym świecie.

Z dokumentu opublikowanego w wersji hi-
szpańskiej przez Departament Informacji
Publicznej ONZ w grudniu 1994 roku pt.
Poblaciones Indigenas. Decenio Internacional 1995-2004 i udostępnionego przez An-
gelę Warsitz przetłumaczył Roman Bala.



Roman Bala

Organizacja Niemocy Zorganizowanej

Powyższy tekst „Dekada Ludności Tu-
bylczej” nie jest łatwy do czytania. Pełno
w nim frazesów a mało konkretnych roz-
wiązań. Niemniej jednak warto się z nim
zapoznać, aby wiedzieć w jakim punkcie
się znajdujemy. Jest to na pewno tekst
ważny, bo dowodzi on, że mimo wszystko
czynione są pewne próby poprawy sytuacji
ludności tubylczej. Często są to jednak
intencje i działania pozorowane.

W tekście nie ma mowy o narodach,
a używa się jedynie słowa „ludność”, jakby
cała ludność tubylcza znajdowała się

w jednym worku, a nie tworzyła odrębnych
narodów (zob. „Tawacin” nr 4[28] z 1994).
Szczególnie eksponuje się sprawy ekono-
miczne, socjalne i oświatowe. Natomiast
sprawy autonomii i samookreślenia sta-
wiane są na dalszym planie.

ONZ chwali się swoimi osiągnięciami.
W 1992 roku uznała oficjalnie, że ludność
tubylcza posiadała wartości, wiedzę, ziele-
nię i że miała prawo w ogóle istnieć! Do-
brze, że tubylcy już o tym wiedzą. Trochę
wcześniej, bo w 1982 roku, dowiedzieli się,
że istnieją!

Niewątpliwym osiągnięciem było
ogłoszenie Międzynarodowego Roku
Ludności Tubylczej (zob. „Tawacin”
nr 1[21] z 1993), a teraz Międzynaro-
dowej Dekady. Pytanie tylko, co pod-
czas tego Roku zrobiono. A więc...
w Australii przyznano się, że w mo-
mencie przybycia Europejczyków ktoś
tam jednak mieszkał. Albo w Meksyku...
tam Fundusz Rozwoju Rolnictwa wpro-
wadza w życie pewien projekt mający po-
lepszyć sytuację tubylców, a jednocześnie
nie do innego miejsca wysłał się wojsko
przeciwko ludziom, których sytuacja już
chyba nie może być gorsza.

Wygląda na to, że trzeba cieszyć się tym,
że w ogóle coś zrobiono. Ale przecież nie
zrobił nic – dla takiej organizacji jak ONZ
– byłoby naprawdę wielką sztuką. Wszy-
stko to dowodzi, że ludność tubylcza jest
zmuszona do walki o swoje prawa i że
jeszcze długo będzie musiała tę walkę pro-
wadzić. Bez walki nie uznano by nawet jej
istnienia.

Deklaracja praw ludności tubylczej znaj-
duje się dopiero w sferze projektów. Należy
być chyba zadowolonym, że ludność tubyl-
cza w ogóle będzie miała do czegoś prawo.
Jeśli jednak ten projekt zostanie przyjęty,
to ludność tubylcza uzyska najważniejszą
rzecz: **prawo do samookreślenia i auto-
nomii**, czyli prawo prowadzenia własnej
polityki i określania własnego losu.

W końcowym rozrachunku jednak i tak
wszystko będzie zależeć od poszczególnych
państw. Konwencje można sobie ustalać,
ale jeśli nie będą one miały mocy wyko-
nawczej, to mało prawdopodobne, że od-
niosą jakiś skutek.

Czym jest ONZ? Jest organizacją grupu-
jącą przedstawicielstwa rządów, które wy-
brał obywateli danych krajów, czyli my.
Dlatego my również jesteśmy odpowiedzialni
za taką, a nie inną sytuację ludno-
ści tubylczej.

Wygląda na to, że jedynymi organizacja-
mi, które próbują coś zrobić i ruszyć tę
zbiurokratyzowaną maszynę, są organiza-
cje pozarządowe, zarówno tubylcze, jak
i nie. Dzieje się tak pewnie dlatego, że same

mają problemy z działaniem, same boryka-
ją się z brakiem środków. Za to oficjalne
organizacje rządowe hulają sobie, ile du-
sza zapagnie. Szczególnie beczelnością była
walka delegacji na Światowy Szczyt Roz-
woju Społecznego w Kopenhadze o luksu-
sowe apartamenty w hotelach, aby móc
obradować na rzecz walki z nędzą.

Mamy również przykłady z własnego
podwórka, ukazujące postawę elit rzą-
dzących. Prezydent Lech Wałęsa, laureat
Pokojoyej Nagrody Nobla, podróżuje po
krajach Ameryki Łacińskiej, ściskając rę-
ce przedstawicieli rządów prowadzących
dyskryminacyjną politykę wobec własnej
ludności. A to dlatego, że na przykład
Chile jest krajem silnym gospodarczo.
Tylko czym kosztem? Nasze Minister-
stwo Spraw Zagranicznych z byłym mi-
nistrem, Andrzejem Olechowskim, od-
mawia poparcia rezolucji potępiającej
łamanie praw człowieka w Chinach. Od-
zywają się głosy potępiające wyprawę
konwoju z pomocą humanitarną do Cze-
czenii – jedyną, która dotarła na miejsce
i którą tamtejsza ludność na zawsze za-
pamięta.

Przykłady te ilustrują politykę rządów.
ONZ składa się z poszczególnych
państw. A rządy wybieramy my. Zbliżają
się wybory. Pytajmy więc kandydatów, czy
będą coś robić na rzecz ludności tubyl-
czej świata. I nie dajmy się zbyć twierdze-
niem, że to nie nasza sprawa, bo u nas nie
ma ludności tubylczej. Takie jest, na przy-
kład, zdanie rządu niemieckiego i zapew-
ne wielu innych.

ONZ proklamowało dzień 9 września
Międzynarodowym Dniem Ludności Tu-
bylczej uzasadniając, że jest to rocznica
oficjalnego uznania ludności tubylczej
przez ONZ. To tak jakby upamiętnić dzień,
w którym się dowiedziało, że woda jest
mokra. Chyba lepiej byłoby go nazwać
Dniem Pójścia Po Rozum Do Głowy. Chyba
też lepiej będzie obchodzić Dzień Solidar-
ności z Indianami 12 października, a Dzień
Zakochanych w czerwcowe Sobótki, za-
miast w lutym.

Roman Bala

Ludom tubylczym na pomoc

Z Angelią Warsitz – przedstawicielką Stowarzyszenia na rzecz Narodów Zagrożonych (GfbV) do spraw kontaktów z ONZ oraz delegatką GfbV do udziału w pracach komisji i konferencjach ONZ, a także koordynatorką AIM na Europę rozmawia Roman Bala.

W 1994 roku ogłoszono Międzynarodową Dekadę Ludności Tubylczej Świata. Jaki cel temu przyświecał i jakie to będzie miało znaczenie dla ludów tubylczych?

Międzynarodowa Dekada Ludności Tubylczej Świata została oficjalnie ogłoszona 9 grudnia 1994 roku podczas obrad Zgromadzenia Ogólnego ONZ w kwatery głównej w Nowym Jorku. Udział wzięło wielu oficjalnych mówców ze strony ONZ oraz licznie zaproszeni goście z różnych kontynentów, różnych grup tubylczych i organizacji. Obecni byli m.in. Rigoberta Menchu Tum, Oren Lyons, Maria Malintzin, przywódca Barberów i inni. Hasłem Dekady jest *Ludność tubylcza – nowe partnerstwo*. Powiedziano, że Narody Zjednoczone postarają się zrealizować prace badawcze dotyczące praw tubylczych, oświaty, ochrony zdrowia i innych zagadnień. Powiedziano też, że ludność tubylcza powinna posiadać większą reprezentację w różnych instytucjach ONZ, na przykład w UNESCO czy MOP, a nie tylko w Komisji Praw Człowieka, jak było do tej pory. Realizacja tych zamierzeń będzie jednak zależać od zgromadzenia odpowiednich funduszy. W Genewie istnieje specjalna fundacja na rzecz ludności tubylczej i normalnie każdy kraj, członek ONZ, jest zobligowany do wpłacenia pewnej sumy na ten cel. Jednak niektóre kraje starają się od tego wykręcić, na przykład Niemcy, które uważają, że skoro w ich kraju nie ma ludności tubylczej, to nie mają obowiązku płacić. Istnienie tej fundacji jest jednak konieczne, chociażby do pokrycia kosztów podróży delegacjom tubylczym, których zazwyczaj nie stać na takie wydatki.

Kogo uważa się za ludność tubylczą? Jaka jest jej definicja?

Istnieje wiele definicji na ten temat, ale ta przyjęta przez ONZ mówi, że „ludność tubylcza to ludność pierwotna, która zamieszkiwała dany obszar, zanim jakakolwiek grupa etniczna przybyła na to miejsce, dokonała jej podboju i zepchnęła na marginesy.” Ludność tubylcza stanowi obecnie zazwyczaj 1-2% ogółu ludności danego kraju, oczywiście za wyjątkiem niektórych państw latynoskich.

Jaka jest liczba pozarządowych organizacji tubylczych, posiadających status ONZ i jaka jest ich rola?

Obecnie jest ich dwanaście. Są to m.in.: Wielka Rada Kri (Grand Council of the Cree), Rada Czterech Kierunków (Four Directions Council), Międzynarodowa Rada Traktatów Indian (International Indian Treaty Council), Indian Rada Traktatów Ameryki Łacińskiej, Konferencja Koła Polarnego i inne. I tylko te organizacje mają możliwość wypowiadania się na forum ONZ, ale rzecz jasna każdy przedstawiciel ludności tubylczej może uczestniczyć w pracach Grupy Roboczej.

W grudniu i styczniu przebywałaś w Stanach Zjednoczonych. Jaki był program twego pobytu?

Przed zebraniem Zgromadzenia Ogólnego ONZ uczestniczyłam w wielu spotkaniach grup roboczych z udziałem przedstawicieli różnych agend ONZ, celem wypracowania konkretnych propozycji do przedstawienia ich na forum Zgromadzenia Ogólnego. Zdecydowaliśmy m.in., że każdy kolejny rok będzie poświęcony jednemu tematowi. Na przykład rok 1995 jest Rokiem Kobiet. Pierwsza konferencja w tej sprawie odbędzie się we wrześniu w Pekinie. Będzie to rok wszystkich kobiet, ale szczególnie nacisk kładziony jest na sprawy kobiet tubyl-

czych. Rok 1996 będzie poświęcony ogólnie rozwojowi. Nie pracuję tylko na rzecz ludności tubylczej, chociaż – to mój główny przedmiot zainteresowania, ale również na rzecz praw człowieka w ogóle, albo lepiej – przeciwko gwałceniu praw człowieka. Potem podróżowałam po Południu USA, bo zajmuję się również prawami czarnej ludności.

Wcześniej przebywałaś w Północnej Afryce...

We wrześniu ubiegłego roku uczestniczyłam jako delegat w Konferencji ONZ do Spraw Ludności i Rozwoju w Kairze. Potem prywatnie zwiedzałam Egipt, a następnie prowadziłam prace badawcze wśród narodu Nuba w Sudanie. Panuje tam skomplikowana sytuacja związana z wojną domową. Ma tam miejsce ludobójstwo podobne do tego w Bośni.

Nie uczestniczyłaś w ostatniej konferencji AIM w Minnesocie, chociaż – z tego, co wiem – był ci to temat dość bliski. Jak mogłabyś określić obecną sytuację AIM?

Z tego, co wiem, to w dalszym ciągu istnieją dwie odrębne grupy. Jedną z nich, zwaną Narodowym AIM albo Radą AIM, mieści się w Minneapolis w Minnesocie. Radę tej grupy tworzą m.in. Dennis Banks, Clyde Bellecourt, Vernon Bellecourt, Ted Means, Bill Means, Carole Standing Elk i inni (pozostali członkowie Rady to: Madonna Thunder Hawk, Pat Bellanger, Archie Mosay, Floyd Westerman, Lenny Foster, Dorothy Ackerman, David Larson, Mary Jane Wilson, Barbara Owl, Herb Powless, Lorelei DeCora, Sam Dry Water, Michael Haney, Leonard Crow Dog, Porky White, Larry Anderson, Dude Hecoceta, Chuck Robertson, Janet McClood, Eddie Benton-Banai, Fern Mathias i Bertha Eastman – przyp. R.B.). Drugą grupą zwaną Oddziałami Niezależnymi, której przewodniczy stan Colorado z Russellem Meansem, jest zbiorem różnych, luźno powiązanych grup z Nowego Meksyku, Arizony, Kalifornii, Florydy, Oklahomy i innych miejsc. Obydwie te grupy wzajemnie się nie uznają. Jest to sytuacja patowa, ponieważ obie mają wielu zwolenników, ale nie mogą dojść do porozumienia między sobą.

Jakimi sprawami związanymi z Indianami obecnie się zajmujesz?

Przede wszystkim zajmuję się sytuacją ludności tubylczej w Ameryce Łacińskiej, głównie Indianami Mapuche. Od dwóch lat współpracuję z Aucanem Hualcamanem, jednym z przywódców narodu Mapuche w Chile, najbardziej znanym. Bardzo go cenię i lubię, ponieważ on naprawdę troszczy się o swój lud i dużo dla niego robi. Reprezentuje zupełnie inną postawę niż wielu przywódców indiańskich obu Ameryk, których znam osobiście. Dobrze mi się z nim współpracuje. W przyszłym roku chciałabym go zaprosić do Europy, bo uważam, że również Indianie z tej części Ameryki powinni tutaj przybywać i przekazywać swoją wiedzę. Osobiście chciałabym aby przyjechał i przemówił w Niemczech, a być może także i w Polsce.

Pracuję również dla Indian Makushi z Brazylii, a także współpracuję z kilkoma przyjaciółmi z plemienia Kuna z Panamy. Zajmuję się cały czas sprawą Leonarda Peltiera. Współpracuję też z Russellem Meansem nad projektem dotyczącym szkolnictwa indiańskiego, który rozpoczął zeszłego roku wraz ze swym bratem Tedem. Wkrótce będę miała cały projekt na piśmie, więc przyjaciele w Polsce będą mogli się z nim zapoznać.

I ostatnie pytanie. Jakie są twoje plany na ten rok?

Wkrótce wyjeżdżam do Maroka w celu zbadania kilku spraw dotyczących Berberów, którym odmawia się prawa do mówienia rodzimym językiem. Domagają się też uznania ich przez rząd Maroka za ludność tubylczą. W maju wyjeżdżam do USA, do pracy w ONZ. W czerwcu będę w Genewie na spotkaniu Grupy Roboczej do Spraw Ludności Tubylczej. W sierpniu znowu do USA. We wrześniu być może wezmę udział w Światowej Konferencji do Spraw Kobiet. W październiku udam się do południowej i Czarnej Afryki. W grudniu ponownie wyjadę do USA.

Dziękuję za rozmowę i życzę powodzenia w realizacji tych bogatych planów.

Berlin, 11 lutego 1995 roku.

Okragły stół Mohawków

17 stycznia br. odbyło się kolejne spotkanie wspólnoty Mohawków z Kahnawake, w którym wzięło udział około sześćdziesięciu osób, a także zaproszeni goście z Akwesasne i Kahnasatake. Omawiano sprawę „okrągłego stołu” Mohawków i Kanady, kwestię zwrotu ziemi i ustawę o posiadaniu i sprzedaży napojów alkoholowych.

Wodzowie z każdego rezerwatu (wraz z Joe Nortonem) wypowiadali się na temat rezultatów „okrągłego stołu” i wyrazili nadzieję, że wkrótce rozwiązane zostaną problemy związane z kwestią granic (przekraczanie, cło itd), opieką zdrowotną, samorządem i rozwojem gospodarczym.

Wódz Russell Roundpoint z Akwesasne powiedział, że „okrągły stół Mohawków i Kanady pozwolił na wzajemną pomoc oraz na podjęcie działań nad naszym dniem dzisiejszym i przyszłością.”

Szlak Długiego Domu Mohawków

Styczeń 1995 – Ludzie Szlaku Długiego Domu spotkali się razem w celu dyskusyjnego omówienia ustawy o nietrzeźwości. Wy powiedziano już wiele w tej kwestii, gdyż budził to wielkie zainteresowanie wszystkich mieszkańców Kahnawake.

Decyzja została podjęta jednogłośnie i dlatego możemy obecnie przedstawić nasze oficjalne stanowisko w tej sprawie.

Jako tradycyjni ludzie nie możemy tolerować jakiegokolwiek używania środków odurzających. Jesteśmy silni i zdecydowanie przeciwni stosowaniu, używaniu i nadużywaniu alkoholu. Wszyscy opowiadamy się za położeniem temu kresu.

Według nauk Twórcy Pokoju (Peacemakers), który wprowadził nowy model pokoju, władzy i siły – używanie środków odurzających jest niezgodne z naszymi prawnymi naukami. Wielkie Białe Korzenie Pokoju rozpościerają się w czterech kierun-

kach dla celów pokojowych, wzmacniających i jednoczących. Czujemy, że tradycyjni ludzie mają za zadanie pełnienie roli ambasadorów prawa Twórcy Pokoju. Dlatego też ludzie Długiego Domu chcą być przykładem trzeźwości i chcą zachęcać do kroczenia dobrą drogą życia.

Zachęcamy gorąco do podjęcia wzmożonych działań sygnalizujących problemy z nadużywaniem alkoholu, istniejące w waszej wspólnocie.

Jako tradycyjni ludzie Długiego Domu nie możemy podpisać jakiegokolwiek ustawy dotyczącej regulacji nietrzeźwości.

W imieniu Ludzi Szlaku Długiego Domu Mohawków

Michael T. Benwell
sekretarz

Poziom zachorowań na gruźlicę odzwierciedla warunki życiowe tubylców

Przypadki zachorowań na gruźlicę są 43 razy częstsze wśród statusowych Indian niż wśród nie-tubylczych Kanadyjczyków urodzonych w Kanadzie – stwierdza raport statystyczny Kanady. „Liczba zachorowań wśród Indian w 1992 roku wynosiła 81,3 przypadki na sto tysięcy, co znacznie przewyższa wskaźniki zachorowań w krajach najuboższych – powiedziała Kathryn Wilkins, która opublikowała swe badania w kwartalniku *Health Reports*. – W Bangladeszu wynosi on 43,6.”

Na wysokość tych liczb wpływają opłakane warunki bytowe wielu tubylczych Kanadyjczyków – jak twierdzi David Ross, dyrektor Kanadyjskiej Rady Rozwoju Społecznego. – „Wiele rezerwatów ma złe funkcjonującą i konserwowaną kanalizację”.

Wśród nie-statusowych tubylców, gruźlica zdarza się 60,8 raza na sto tysięcy osób, podczas gdy wśród nie-tubylców urodzonych w Kanadzie wskaźnik ten wynosi 1,9 na sto tysięcy.

Liczy się każdy głos

Tubylcza ludność Quebecu jest zadowolona i zaniepokojona tym, co może się stać, jeśli Quebec odłączy się od Kanady. Apelują o pomoc. „Prawdą jest, że żyjemy w demokratycznym społeczeństwie i jeśli nie chcesz, aby ktoś brał cię na siłę, wtedy wszystko, co możesz zrobić, to głosowanie przeciwko tej osobie. To samo dotyczy referendum.”

Jeżeli ludność tubylcza zorganizuje się w zamyślowaniu solidarności, może ona z powodzeniem utrzymać równowagę sił w Quebecu i dysponować takim elektoratem, który będzie się liczył w referendum.

Jeżeli ludność tubylcza nie będzie głosować przeciwko oddzieleniu się Quebecu, może to być odebrane przez polityków jako apatia udowadniająca, że tubylcy nie wykazują żadnego zainteresowania polepszeniem swego losu.

Każdy ma prawo głosować i każdy głos się liczy. (Roger Guitier, Chateaufort)

Film inspirujący do dialogu

„Chciałam zrobić film o mieszkańcach Quebecu metyskiego i tubylczego pochodzenia. Rozejrzałam się wokół i znalazłam kobiety i mężczyzn, którzy podobnie jak ja, zafascynowani są innymi istotami ludzkimi” – powiedziała Lucie Lachapelle, reżyser filmu *La Rencontre*. Dzięki osobistym relacjom tych, którzy związali swe życie z ludnością tubylczą, *La Rencontre* daje rzetelny i żywy obraz codziennego życia tych ludzi.

La Rencontre ukończony został w Montrealu 31 października 1994 i zaprezentowany w listopadzie na międzynarodowym festiwalu filmów dokumentalnych w Rouyn-Noranda. Film będzie prezentowany w wielu innych regionach Quebecu, gdzie tubylcy i nie-tubylcy żyją obok siebie. Film ten, dostępny we wszystkich bibliotekach szkolnych na kasetach wideo, może posłużyć obu stronom jako inspiracja do wzajemnego dialogu.

Trzeci album grupy Kashtin

Florent Volland i Claude McKenzie, liderzy zespołu „Kashtin” (w języku Innu „Tornado”) nagrali swój trzeci album zatytułowany *Akuwa Tuta*. Jest to zarazem ich najlepszy zbiór. Podobnie jak dwa wcześniejsze (*Kashtin* z 1989 i *Kashtin Innu* z 1991), album ten przesłanki jest tradycyjną muzyką ludu Innu (Montagnais).

Cechą charakterystyczną grupy „Kashtin” jest to, że prawie wszystkie utwory śpiewają w rodzimym języku, co na tle współczesnej aranżacji i melodyki stanowi super atrakcyjny kasek, nie tylko dla melomanów. (Szerzej o zespole „Kashtin” napiszemy w następnym numerze – red.)

Mistrzowie zapasów

– Nikt nie pracuje tak ciężko jak my – powiedział trener drużyny zapasniczej z Kahnawake. Zespół młodzieżowy ze Szkoły Przetwarzania Kahnawake wciąż odnosi zwycięstwa. W styczniu br. zajął pierwsze miejsce na turnieju w Orillia, w prowincji Ontario.

Największe plemiona w USA

Sporządzono nowy raport rządowy o społecznej i ekonomicznej kondycji plemion Indian amerykańskich. Raport oparty został na spisie ludności z 1990 roku.

Można w nim znaleźć m.in. listę największych liczebnie plemion indiańskich. Pierwsza dziesiątka przedstawia się następująco: Człłroke – 369 035, Nawaho – 225 298, Siłksowie – 107 321, Czipewojowie – 105 988, Człktawowie – 86 231, Pueblo – 55 330, Apacze – 53 330, Irokezi – 52 557, Lumbee – 50 888 i Krik – 45 872.

Na podstawie wycinków prasowych (z „The Eastern Door”, „Rencontre”, „The Gazette” i „Windspeaker”) nadesłanych przez Michaela T. Benwella (*Thanks Mike*), sekretarza Narodu Mohawków z Kahnawake, serwis informacyjny opracował Marek Cichomski.

Na ścieżkach wielkich wojen

W języku Cree mówimy *Kah-gee pohn noten*, wspominając Dzień Pamięci. Znaczy to: *walka skończona*.

Irene Plante

Echa I wojny światowej, która wstrząsnęła Europą, dotarły również do Kanady, która przystępując do koalicji państw Ententy ogłosiła w 1915 roku nabór ochotników do wojska. Na apel ten odpowiedziało około czterech tysięcy tubylców. Pobudki skłaniające do takiej decyzji łatwo odtworzyć: służba w wojsku i wyjazd za ocean dawały możliwość poznania świata, zarobienia pieniędzy, przeżycia przygód, słowem – przerwania monotoni życia w rezerwacie. Decydowały się na to jednostki aktywne, często całe rodziny. Po powrocie do domów prestiż tych ludzi wzrastał, często obejmowali oni eksponowane stanowiska. Ten psychologiczno-społeczny mechanizm powtarzał się wiele razy.

W skład 114 batalionu piechoty kanadyjskiej weszło około trzystu członków Konfederacji Sześciu Narodów. Wraz z innymi tubylcami-ochotnikami z Ontario i Manitoby stworzyli dwa regimenty tego batalionu, włączając w to kadre oficerską. Duża liczba Indian w tej jednostce spowodowała, iż batalion przyjął za symbol dwa skrzyżowane tomahawki z napisem powyżej: „Dla króla i kraju”. Członkinie Ligi Patriotek Sześciu Narodów wyhaftowały na sztandarze batalionu (za specjalnym pozwoleniem) obok królewskich także irokeskie symbole, m.in. żółwia, niedźwiedzia i wilka.

Do wojska zgłaszali się również tubylczy mieszkańcy terenów oddalonych od centrów, np. z Yukonu i Terytorium Północno-

Zachodniego, mimo że informacje docierały tam później i dostęp do punktów werbunkowych był utrudniony. Około piętnastu Inuitów z Labradoru służyło w Pierwszym Regimente Nowofundlandzkim. Setka Ojibweów z izolowanych obszarów nad Thunder Bay w Ontario, po zgłoszeniu się do najbliższych miejsc rekrutacji w Port Arthur i Fort William, trafiło w większości do 52 batalionu piechoty kanadyjskiej. Co najmniej sześciu z nich zostało odznaczonych medalami za odwagę.

Najwyżej uhonorowanym kanadyjskim Indianinem był Ojibwa z Parry Island w Ontario, kapral Francis Pegahmagabow. Za akty odwagi podczas walk w Belgii i Francji otrzymał Médaille Militaire. Po powrocie z frontu został wodzem swojej grupy, a jego podobizna do dziś wisi w kolekcji portretów zasłużonych Indian w muzeum w Brantford. Dwaj synowie wodza Cayugów dosłużyli się stopni oficerskich, ponadto wyróżniono ich Croix Militaire. Jeden z nich, Aleksander Smith, który po ciężkiej chorobie wrócił w 1917 roku do Kanady otrzymał stopień adiutanta komendanta obozu szkoleniowego Niagara-on-the-Lake. Pod jego rozkazami pozostawali m.in. żołnierze polscy. Za swoje zasługi został później mianowany kawalerem Orderu Czarnej Gwiazdy i otrzymał także bliżej nieokreślone polskie odznaczenie.

Dzięki zupełnie innym umiejętnościom zapisany w annałach historii został To Longboat, Onondaga z rezerwatu Grand River. W roku 1907 w rekordowym tempie pokonał trasę maratonu w Bostonie dystansując swoich rywali o prawie kilometr. Jeszcze większy sukces odniósł dwa lata później zdobywając światowy czempionat po zwycięstwie w profesjonalnym marato-

nie rozgrywanym w Nowym Jorku. Te nadzwyczajne predyspozycje zadecydowały o tym, że został kurlerem w 107 batalionie działającym na terenie Francji. I to kurlerem nie byle jakim: o jego wyczynach opowiadano niemal legendy (na współczesnej fotografii widać, że biegł z klasycznym lokiem skalpowym). W roku 1918 z okazji święta narodowego zorganizowano w kanadyjskim korpusie ekspedycyjnym bieg na 13 km. Oczywiście zwyciężył w nim Longboat i jego renoma została potwierdzona.

Udział w wojnie wzięły również tubylcze kobiety. Jedną z nich, Edith Anderson z rezerwatu Grand River, pracowała jako pielęgniarka w U.S. Medical Corps. Ratowała życie żołnierzom m.in. po użyciu przez Niemców broni chemicznej.

Kiedy w październiku 1919 roku książe Walli wizytował wschodnie rejony Kanady, przekazał Sześciu Narodom tablicę z brązu dla uczczenia pamięci 88 członków Konfederacji poległych na europejskich polach bitewnych. Ogółem I wojna światowa pochłonęła życie trzystu tubylczych żołnierzy. Część z nich zmarła z powodu chorób, zwłaszcza gruźlicy. Byli i tacy, którzy z infekcją wrócili do domów, by dopiero tam zakończyć swoją ziemską drogę.

Po niespełna ćwierćwieczu, na starym kontynencie rozpoczęła się kolejna, najstraszniejsza dotąd w dziejach, wojna światowa. Kanada wypowiedziała wojnę Niemcom 10 października 1939 roku, a edykt o obowiązkowej służbie w obronie kraju wszedł w życie w marcu 1940 roku. Oficjalne statystyki podają liczbę 3.090 indiańskich ochotników, w tym 72 kobiety i 7 autochtonów z Yukonu. Rzeczywista liczba była jednak wyższa, ponieważ nie wszyscy Indianie oraz większość Metysów i Inuitów znalazła się poza rejestrami. Oprócz tego nieznaną pozostaje liczba tubylców pochodzących z rezerwatów przy granicy z USA, którzy trafili do armii Stanów Zjednoczonych.

Wielu z rekrutów było uczestnikami poprzedniej wojny. Należał do nich Ojibwa, John McLeod, który razem z sześcioma synami i jedną ze swych córek, Mary, zaangażował się do wojska. Ona to właśnie,

w 1972 roku złożyła w Ottawie wieniec pod pomnikiem upamiętniającym ofiary wojen, występując jako reprezentantka wszystkich kanadyjskich matek, które utraciły na różnych frontach swoje dzieci.

Dane odnoszące się do lat 1942-43 informują, że 29 Indian służyło w siłach powietrznych, a dziesięciu w marynarce kanadyjskiej. Do końca wojny liczba ta zwiększała się.

Podczas sześciu lat służby w szeregach armii kanadyjskiej David Greyeyes, Cree z Saskatchewan, przebył sześć krajów Europy wypełniając odpowiedzialne zadania dywersji wojskowej. Zaciągnął się w czerwcu 1940 roku w wieku 25 lat wraz z dwoma braćmi i siostrą. Jako komendant plutonu walczył na frontach sycylijskim, włoskim (gdzie otrzymał grecki krzyż wojskowy trzeciej klasy za odwagę), w północnej Afryce, Francji oraz krajach Beneluxu. Zdolności przywódcze procentowały również w czasach pokoju i po powrocie z frontu został wodzem swojej grupy, a następnie – jako pierwszy Indianin w Kanadzie – regionalnym dyrektorem urzędu do spraw Indian.

Jednym z najśłynniejszych tubylczych żołnierzy podczas II wojny światowej był Saulteaux, Tommy Prince. Zaciągnął się jako ochotnik do pierwszego batalionu kanadyjskich służb specjalnych, zwanego „Brygadą Diabła”. Sprawdził się w nim jako specjalista od rozpoznania. Wsławił się naprawą sieci łączności, której dokonał w przebraniu chłopca, a także wytopieniem obozu przeciwnika i skierowania nań sił całej jednostki. W uznaniu tych i innych zasług król Jerzy VI odznaczył go w pałacu Buckingham Médaille Militaire, a od prezydenta USA otrzymał medal Srebrnej Gwiazdy.

Kanadyjscy tubylcy brali udział we wszystkich ważniejszych bitwach i kampaniach II wojny. Z dała od domów i rodzin straciło życie ponad dwustu Indian, z czego siedemnastu zostało wyróżnionych medalami za brawurę. Szesnastu Indian i Metysów walczyło w szeregach Winnipeg Grenadiers i Royal Rifles of Canada także przeciw Japonii. Dziesięciu z nich poległo.

Zaangażowanie w zmagania wojenne wykazywali również tubylcy, którzy pozostali w Kanadzie. Na terenie całego kraju Indianie pracowali w fabrykach zbrojeniowych, przeznaczali też tereny własnych rezerwatów pod budowę lotnisk i strzelnic wojсковych. Zupełnie bezprecedensowa była akcja członków wspólnoty *Vuntut Gwitchin* (Stara Wrona), którzy ofiarne odpowiedzieli na apel grupy sierot angielskich proszących o finansowe wsparcie. Swoją wdzięczność za przekazane środki i słowa pocieszenia dzieci te wyrazili w audycji radia BBC.

W roku 1943 w podziękowaniu za lojalność król Jerzy VI uhonorował Medalem Imperium Brytyjskiego wodzów czterech tubylczych grup kanadyjskich: Red Gut z Ontario, Kitkatka z Kolumbii Brytyjskiej, Norway House z Manitoby oraz wspomnianej Vuntut Gwitchin z Yukonu.

Światowy pokój po sześciolatnim kataklizmie nie trwał niestety długo. W 1950 roku Kanada zaangażowała się w zmagania wojenne na terenie Korei. W szeregach korpusu ekspedycyjnego walczyło ogółem 26 tysięcy Kanadyjczyków. Jako pierwsi wyruszyli na front marynarze. Już w lipcu tegoż roku marynarka kraju klonowego liścia poniosła dotkliwe straty – utraciła bowiem trzy okręty, z których dwa nosiły nazwy „Cayuga” oraz „Sloux”. Później morską służbę pełniły jeszcze jednostki: „Nootka”, „Iroquois”, „Huron” i „Haida”. W końcu 1950 roku agenci Urzędu do spraw Indian ogłosili nabór do wojska. Do marca następnego roku, na apel ów odpowiedziało siedemdziesięciu trzech tubylców. Dużą część z nich stanowili kombatanci poprzedniej wojny – znajdował się wśród nich Tommy Prince. Innym był Cayuga, Ted Jamieson, który podczas II wojny światowej służył na trzech okrętach, a w czasie konfliktu koreańskiego pełnił funkcję instruktora na „Iroquois”. Po jego zakończeniu został mianowany głównym instruktorem do walki z łodziami podwodnymi w szkole morskiej w Halifax. Karierę wojсковą zastąpiła później działalność społeczną. Jamieson pełnił rolę doradcy w cen-

trum leczenia narkomanii i alkoholizmu w jednym z rezerwatów Sześciu Narodów.

Zawieszenie broni w wojnie koreańskiej podpisano 27 lipca 1953 roku. W zmaganiach zginęło ponad pół tysiąca Kanadyjczyków. Liczba poległych tubylców jest nieznana. Ogółem, w obu wojnach światowych oraz podczas konfliktu koreańskiego w siłach armii kanadyjskiej walczyło ponad siedem tysięcy Indian oraz trudna do oszacowania liczba Inuitów i Metysów. Stowarzyszenie Tubylczych Kombatantów podaje liczbę 12 tysięcy.

Waldemar Kuligowski

Oprac. na podstawie *Soldats autochtones terres étrangères le ministre des Services gouvernementaux 1993*



Bramy rezerwatów otworzyła I wojna światowa. Młodzi Indianie otrzymali prawo do śmierci i kalectwa w interesie ojczyzny, która ich dotąd nie uznawała. Uczestnicy wojny otrzymali obywatelstwo dopiero w 1919 roku, pozostali Indianie – 5 lat później.

Na fronty II wojny światowej wyruszyło 25 tysięcy młodych Indian. Najlepiej spisało się 3.600 Nawahów, którzy przeważnie byli przydzielani do służb łączności na Pacyfiku. Dzięki nim właśnie przydarzyło się Japończykom coś, co ich zaskoczyło: nie potrafili złamać szyfru, jakim posługiwali się Amerykanie nadający informacje, meldunki i rozkazy. Nie udało im się to aż do końca wojny. Nie przyszło im na myśl, że to, co uważali za niezwykle skomplikowany kod – było po prostu ojczystą mową Nawahów.

14 sierpnia 1982 roku prezydent Ronald Reagan ogłosił Ogólnonarodowy Dzień Nawajskiego Radiotelegrafisty. W przemówieniu prezydent wyraził także uznanie „dla innych Indian amerykańskich, którzy służyli naszemu narodowi w czasie wojny, wykazując wielką odwagę i heroizm w walce. Wielu oddało życie, spełniając swój obowiązek. Ich pamięć powinna być zachowana przez wszystkich Amerykanów. Poświęcenie i nienaganne wypełnianie służby powinny być pięknym przykładem dla wszystkich Amerykanów.”

XIX ZLOT PRZYJACIOŁ INDIAN

Od kilkunastu lat spotykamy się na letnich zlotach, by z jednej strony odpocząć po roku pracy, a z drugiej – zaprezentować efekty swojej działalności. Jest to często jedyna okazja abyśmy się wszyscy mogli spotkać.

W ramach przygotowań do organizacji XIX zlotu przedstawiliśmy ankietę, która pozwoli nam poznać propozycje i oczekiwania z nim związane. Uznaliśmy to za jedyny sposób dotarcia do większej części naszego środowiska.

Teraz kilka liczb.

Rozesłaliśmy blisko 500 szt., w różnej formie, odpowiedziało nam ok. 30%, z czego połowa to osoby nowe. Łącznie z osobami towarzyszącymi swój przyjazd zapowiedziało około 250 osób. Zgłoszono przyjazd kilkunastu dzieci w wieku od 6 miesięcy do 12 lat. Zamówiono około 20 kompletów tyczek do tipli. Średnia wieku to 22 lata.

Z poszczególnych grup tematycznych największą popularnością cieszą się tańce, dalej jest filozofia, duchowość, rękodzieło, historia, szalasy potu, spotkania towarzyskie, pleśń, *survival*, ekologia, medycyna naturalna, gry i zabawy, polityka, współczesność, sprawy kobiet, stowarzyszenia tradycyjne, strażnicy ognia, muzyka latynoska, prelekcje, służba zdrowia, policja i obywatelstwo.

Postaramy się, aby znalazło to swoje odbicie w proponowanym programie. Jego zarys powstał na podstawie zgłoszonych propozycji, będziemy nad nim jeszcze pracować z osobami prowadzącymi.

Oczywiście nadal prosimy o nadsyłanie pozostałych ankiet i propozycji programowych. Chcielibyśmy rozesłać zaproszenia z kompletem informacji do końca maja.

Zdajemy sobie sprawę, że dla niektórych osób ankietą i jej forma była zaskoczeniem i do tej pory zwlekają z jej wypełnieniem i odesłaniem. Gdyby ktoś nie mógł lub nie chciał na nią odpowiedzieć, a chciał ucze-

stniczyć w zlocie prosimy o kontakt z nami i przesłanie opłaty zlotowej.

Wstępne informacje na temat zlotu to termin: od **15-30 lipca 1995 roku**; miejsce: **Pojezierze Drawskie** (dokładna lokalizacja razem z mapką zostanie podana w zaproszeniu). Koszt uczestnictwa w zlocie wynosi **15 zł** przesłane przekazem pocztowym przed zlotem lub **20 zł** płatne na zlocie. Przewidujemy zniżki **50%** dla właścicieli tipli oraz **100%** dla osób funkcyjnych.

Zaproszenie z kompletem informacji otrzymują osoby, które odpowiedzą na ankietę lub prześlą opłatę zlotową do 31 maja br. pod adresem Organizatorów:

**MAREK DŁUGOSZ
UL. RYBACKA 6/1
75-228 KOSZALIN**

Ogłoszenia przedzlotowe:

- ➡ Osoby, które mogą i chcą udostępnić miejsce w swym tipli innym zlotowiczom prosimy o kontakt z Organizatorami (adres jak wyżej) i podanie liczby miejsc, warunków itp.
- ➡ Kto wypożyczy tipl? (Katarzyna Chobot, ul. Batorego 29, 05-400 Otwock)
- ➡ Para studentów wraz z sześciomiesięczną córką poszukuje kogoś, kto mógłby wypożyczyć lub przygarnąć ich do swojego tipli na okres zlotu (Robert Lisjak, ul. Kasztanowa 6/30, 63-200 Jarocin)
- ➡ Proszę o kontakt z właścicielem samochodu jadącego na zlot przez Olsztyn, możliwa opłata za transport (Tadeusz Piotrowski, ul. I Dwiżył WP 17, 10-069 Olsztyn).
- ➡ SZYCIE TIPI: kształt, wielkość, rodzaj materiału i kolor oraz cena do uzgodnienia. Wszelkie informacje pod adresem: Marek Długosz ul. Rybacka 6/1, 75-228 Koszalin

Muzyka dla tubylczych Amerykanów

Nowa płyta Robbie Robertsona

Robbie Robertson, przed laty lider grupy „The Band”, bardzo rzadko nagrywa autorskie płyty. Jego wcześniejszy album zatytułowany po prostu *Robbie Robertson* (1987) to głęboka, zdecydowanie męska muzyka. Dwa utwory znalazły się na ścieżce dźwiękowej filmu *PowWowHighway* (zob. „Tawacin” nr 2[19], 1992). Najnowszy album *Music for the Native Americans* (1994) nagrany wspólnie z zespołem „The Red Road Ensemble” to cudownie zaaranżowana i zagrana muzyka inspirowana kulturą i tradycją Indian amerykańskich. Płyta zawiera utwory tradycyjne w oryginalnych językach, a także kompozycje instrumentalne i piosenki. Do udziału w nagraniu Robbie Robertson zaprosił m.in. folklorystyczną grupę „Pura Fe”, zespół „Kashlin” oraz lakocką śpiewaczkę operową, Bonnie Jo Hunt. Na osobną uwagę zasługuje okładka albumu zawierająca, obok tekstów utworów, komentarze autora, liczne cytaty i fotografie, co wszystko razem tworzy niezwykle dzieło.

Album Robbie Robertsona *Music for the Native Americans* to piękny przykład promocji kultury tubylczych Amerykanów przy wykorzystaniu współczesnych metod. Moje skromne ***** MM

To dobry dzień na umieranie

(It Is A Good Day to Die)

słowa: Robbie Robertson

General jechał szesnaście dni
Koniom chciało się pić, były zgonione
W pogoni za wodzem renegatów
Którego podziwiał

Żołnierze ukryli się na wzgórzach
Jakie otaczały wioskę
Zjechał w dół ostrzec wodza
Że przyszedł grabić i zabijać

Odlóście strzelby
Odlóście włócznie
Oczy wodza były smutne
Choć bez cienia strachu

Refren:

To dobry dzień na umieranie
Ach, me dzieci, otrzyście łzy
To dobry dzień na umieranie

Mówił o czasach przed białym człowiekiem
Jego karabinach i whisky
Mówił o czasach, dawnych czasach
Nim zaczęło się to, co zwiemy historią

General nie mógł uwierzyć jego słowom
Ani spojrzeć mu w oczy
Chociaż wiedział, że ci ludzie prędzej umrą
Niż zgodzą się żyć w upokorzeniu

Jakie prawo złamałem
Co złego zrobiłem
Że chcesz mnie pogrzebać
Na tym szlaku krwi

Refren

Dbaliśmy o ziemię i ona dbała o nas
Tak było od zawsze
Nigdy nie prosił się o więcej, nigdy nie
prosił się o zbyt wiele
A teraz mówisz mi, że to koniec.

Odkładam broń
Odkładam łuk
Chcesz mnie wysiedlić
Nie zostawiając wyboru

Refren

Odwrócił się do swych ludzi i powiedział
Nie płaczcie
Zostaliśmy błogosławieni i jesteśmy wdzięczni
Zanieście wolanie do nieba
To dobry dzień na umieranie

Komentarz autora: Kiedy pierwszy raz usłyszałem o tej historii byłem zachwycony. Ciekawiła mnie reakcja żołnierzy, kiedy wódz odpowiadał na ich żądania: „To dobry dzień na umieranie”. Szersze znaczenie tego zwrotu brzmi: „Jestem tak wdzięczny za każdy dzień życia, że każdy z nich jest dobry na umieranie”.

A teraz, dziadku, proszę cię o błogosławieństwo dla białego człowieka. Potrzeba mu twojej mądrości i prowadzenia. Widzisz, przez tak długo usiłował nas zniszczyć i cieszył się tylko wtedy, gdy dzierżył władzę. Więc pobłogosław ich, pokaż im pokój, w jaki wierzymy, naucz ich pokory. Bo boje się, że zniszczą sami siebie i swe dzieci, jak to zrobili z Matką Ziemią. Błagam, wstawiam się za nimi. Oni, mimo wszystko, są moimi braćmi.

– Sandy Kewanhaptewa

Film

„Wyraźny motyw” Bugajskiego

Całkowicie zgadzam się z powszechną opinią, że *Clearcut* to trudny film. Jestem uczestnikiem Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian, a zaraz po obejrzeniu tego filmu zadałem sobie pytanie: Dlaczego ten film powstał? Zastanowiło mnie to tym bardziej, że w filmie tym występują sławni już aktorzy, którzy sami są Indianami i nie pozwolą szargać swego imienia. Głównym wątkiem filmu jest kombinacja, o co w tym wszystkim chodzi. Przede wszystkim zaś w filmie tym nie widziałem żadnego „wyraźnego motywu” – a taki nosi on tytuł w języku polskim. Poszperałem więc w słownikach i wyedukowałem, że *clearcut* to nie żaden „wyraźny motyw”, ale po prostu „wycinanie” – wycinanie lasu. No i nagle wszystko stało się jasne!

Prawie przez wszystkie narody indiańskie planeta nasza uważana jest za matkę wszystkich istot żywych – zarówno zwierząt, jak i roślin – i nikt nie może zaprzeczyć taklemu twierdzeniu. Podążając za tym tokiem myślenia – wycinanie lasu to wycinanie ciała Matki Ziemi. Aha! Więc o to tu chodzi...

Tak, tak – Artur wycinając pas skóry z nogi tego bezbronnego fabrykanta, chciał pokazać mu, co sam robi z Matką Ziemią – chciał pokazać, że Matkę Ziemię boli to tak samo, jak jego.

W innej recenzji tego filmu przeczytałem, że jest to film prezentujący tragiczne losy obrońcy Indian. Nie! Nie jest zamłnem tego filmu ukazanie tragicznych losów obrońcy Indian! Film ten pokazuje tragiczne losy Matki Ziemi.

Film ten to niezła groteska jego autorów, to obraz pełen symboli, bo przecież:

→ Indianin Artur wcale nie ma tu przedstawiać Indianina. Jest to symbol brutalnego, kłamliwego i krzywdzącego prawa rządzącej cywilizacji. Prawa krzyku, bezwzględności i pięści;

→ fabrykant wcale nie jest fabrykantem, ale Matką Ziemią, krzywdzoną i poniewieraną przez Artura, czyli przez brutalne, zapatrzone w pieniądze prawo rządzącej cywilizacji;

→ adwokat i obrońca Indian wcale nie jest tu obrońcą Indian, ale symbolizuje on Indian broniących Matkę Ziemię; Indian, których pomoc w obronie praw Ziemi jest odrzucana; Indian, którzy nie spotykają się z żadną wdzięcznością ze strony kogokolwiek za to, że stają w obronie Matki Ziemi. Symbolizuje on też Indian oszukiwanych i poniewieranych przez Indianina – Artura, czyli przez kłamliwe i jednostronne prawo rządzącej cywilizacji.

Clearcut czyli *Wycinanie* to przepiękny, czysto ekologiczny film. Ale doprawdy, aspekt ten jest w nim tak dobrze zakamuflowany, że widzę nie czujący ducha natury odbierze go jako obraz opisu niewdzięcznych, brutalnych, sadyistycznych i obłudnych Indian. Ale uwaga! Gdyby o to tu chodziło, to nigdy nie zgodziłby się zagrać w nim tak wielcy Indianie, jak Graham Greene czy wspaniały dziś pieśniarz i poeta – Floyd Red Crow Westerman.

Pomysł Ryszarda Bugajskiego (reżysera m.in. słynnego *Przesłuchania* z Krystyną Jandą w roli głównej) przedstawienia tego filmu w taki, a nie inny sposób świadczy jedynie o jego olbrzymim sercu ekologa, olbrzymim talencie, wielkich ambicjach reżyserskich i o wielkiej odwadze. I chwala mu za to! Szkoda tylko, że tak niewiele osób mogło prawidłowo odczytać przesłanie reżysera tego super ambitnego obrazu, o czym świadczą wszystkie recenzje tego filmu, z jakimi spotkałem się do tej pory. Recenzje takie powinny być jak najprędzej powycierane z polskiej prasy przez ich autorów, albo poprosimy o to Artura – specjalistę od wycinania.

Marek Cichomski

Powyższa recenzja ukazała się pierwotnie w „Zielonych Brygadach” nr 3 (69), marzec 1995 jako odpowiedź na recenzję Olafa Swołikienia, zamieszczoną w numerze 2 (68), luty 1995, dokąd odsyłamy zainteresowanych.

CLEARCUT (Wyraźny motyw). Kanada 1991. Reż. Ryszard Bugajski. Scen. Rob Forsyth (na podst. powieści M.T. Kelly *A Dream Like Mine*). Zdj. Francois Prolet. Muz. Shane Harvey. Występują: Ron Lea, Graham Greene, Michael Hogan, Rebecca Jenkhs, Floyd Red Crow Westerman, Tia Smith, Tom Jackson i in.

RUMINAVI

Ruminavi, blegacz z Tungasuca zatrzymał się i nasłuchiwał.

Odruchowo sięgnął do sakwy przewieszonej przez ramię, wyjął dwa liście koki, położył na język i zaczął żuć. Gdzieś poza nim, doliną, którą właśnie przebiegł niosły się charakterystyczne odgłosy przypominające stąpanie koni lub lam. Nie były to dzikie zwierzęta, co do tego nie miał wątpliwości, za nim poruszali się jeźdźcy. Kim byli? Może to ludzie Huacso, do których miał dotrzeć. Ogarnął wzrokiem brązowe turnie i dalekie ośnieżone szczyty Kordyliery. Obozowisko kacyka z Pisac powinno być już blisko, za wzgórzem, które bez większego wysiłku pokonywał. „A może to Hiszpanie?” – analizował w myśli łowiąc coraz wyraźniejszy tętent. – Tupac Amaru wyraźnie powiedział, że wojsko z Cusco szuka zbłągów z Pisac. Musiał zwiększyć czujność.

Wiedział, że niedaleko stąd dolina rozwidla się na północ i zachód, że jest tam wiele rozpadlin, głazów i skalnych nawisów, skąd łatwo obserwować teren, samemu będąc niewidocznym. Ruszył więc w tym kierunku. Wyszukał odpowiednią kryjówkę między głazami. Przed sobą miał rozwidlenie doliny, a poza sobą kręty i wąski żleb, którym niepostrzeżenie mógł się wycofać w razie potrzeby.

Stukot kopyt był już wyraźny. Czasami chrzęściły potracone kamienie i rozlegał się ludzki głos. Wreszcie ukazał się sznur jeźdźców. Nie spleszyli się. Ruminavi poznał wojskowe uniformy. Potem zakrył ich blok skalny sterczący na skraju doliny. Gdy go ominęli, znaleźli się blisko rozwid-

lenia dróg. Jadący na czele oficer rozejrzał się wokoło i coś powiedział do wysokiego mężczyzny, ubranego w sfatygowane poncho i wypłowiałe sombrero. Nie można jednak było zrozumieć ani jednego słowa. Dopiero, gdy dojechali do dzikiego zbocza, obok którego dolina rozbiegała się na północ i zachód, Ruminavi usłyszał:

– Stać! Broń w pogotowiu! – huczał tubalny głos porucznika obserwującego skały. Szwadron zatrzymał się, żołnierze ściągnęli z ramion strzelby, a oficer gniewnie zwrócił się do cywila: – Prowadzisz nas w zasadzkę, psie!

– Nie, senor, nie! – skwapliwie zaprotestował cywil i wskazując kierunek wyrzucił z siebie: – Tędy, na zachód, a potem przez tamto wzgórze na wschód i obóz kacyka z Pisac. To już blisko.

– Od kilku godzin mówisz, że blisko – denerwował się oficer – Lopez i Tayera – krzyknął do żołnierzy – Zbadajcie te wertepy dookoła. Pospieszcie się.

Zwiadowcy z bronią gotową do strzału ruszyli ostrożnie w rozwidlenie doliny, a szwadron przyjął bojową postawę.

Cywil zsunął sombrero na tył głowy i dłońią otarł spocone czoło. Ruminavi teraz zobaczył jego ogorzałą twarz. Bez trudu poznał Kreola Felipa z Cusco, wódcę i pijanice, który za tyk alkoholu lub najluchszą monetę był gotów na wszystko. Czasami najmował się do pracy w hacjendach, by po pewnym czasie zniknąć z saktewką gospodarza. Nikt mu jednak niczego nie mógł udowodnić, bo nie mając świadków swych nieuczynków, zawsze potrafił się wyłgać. Teraz pewnie za parę pesos prowa-

dził Hiszpanów do obozu Inki Huacso. Musiał sam odkryć obozowisko lub ktoś nieostrożnie je zdradził.

Ruminavi nie wahał się ani sekundy; musiał pokrzyżować plany Hiszpanów. Z sakwy wyciągnął długą na łokieć rurkę i dwa małe skórzane woreczki. Rozwijał jeden i ostrożnie wydobył metalowy grot zakończony ptasim puchem. Ostrze grotu pokrywała brunatna warstwa zaschłej kurary. Miał włożyć pocisk do rurki i zrezygnować. Choć Kreol nie zasługiwał na litość, zrobiło mu się go żal. Schował grot ze śmiertelnością trucizną i z drugiego woreczka wyjął inny, powleczony mleczną masłą, wsunął go w rurkę i wylot jej oparł o brzeg głazu, za którym leżał ukryty.

Wrócili zwiadowcy. Z meldunków wynikało, że wokół jest pusto i spokojnie. Oficer mimo to okazywał nieufność.

– Jedź przodem! – rozkazał Felipowi. – Gdybyś coś knuł, zginięsz pierwszy.

Kreol sięgnął do sombrero, aby nasunąć go na czoło. Ruminavi w tym momencie wciągnął do płuc powietrze, koniec rurki włożył do ust i dmuchnął z całych sił. Coś boleśnie ukuło Felipa w policzek. Zachnął się myśląc, że to jakiś owad, ale gdy pod palcami wyczuł grot zrozumiał wszystko. Znał dmuchawki – cichą i groźną broń Indian. Strach sparaliżował mu mowę, wyszarpnął pocisk rozrywając skórę i dopiero teraz zawył przeraźliwie. Oczy zaskoczonych żołnierzy skierowały się na Kreola.

– Co się stało? – rzucił oficer.

Felipe opadł na kark wierzchowca, krzyczał coś, czego nie można było zrozumieć, w końcu ucichł. Lopez podtrzymał go, by nie spadł z siodła.

Ruminavi nie czekał na dalszy ciąg wypadków. Szybko schował dmuchawkę do sakwy i zachowując ostrożność pobiegł żlebem. Wiedział, że Kreolowi nie stało się nic złego, po prostu popadł w omdlenie, z którego ocknie się po paru godzinach. Do tego czasu Huacso zmienił miejsce swego obozowiska.

Na prędcie sklecone z żerdzi, liści i traw chaty, obłożone wokoło kamieniami, stały w dość sporym zagęszczeniu, bowiem kotlina, w której ukrywali się zbuntowani Indianie była niewielka. Ruminavi szedł pozdrawiając kobiety i wojowników, minał kilka szafasów i wszedł do siedziby curaci, a zobaczywszy go siedzącego przy południowym posiłku, złożył mu należny ukłon i czekał w kornej postawie.

Huacso przyjrzał się gościowi, przerwał posiłek.

– Wiadomości, które przynosisz muszą być ważne, bo spleszyłeś się, jesteś bardzo znużony – powiedział ciepło. – Usiądź, słucham.

– Rozkazy są pilne – odrzekł Ruminavi – ale niedaleko stąd natknąłem się na Hiszpanów szukających twej kryjówki, panie. Dlatego spleszyłem się.

– Kręcą się tu od wielu miesięcy – uśmiechnął się curaca. – Nie znajdą tej kotliny.

– Prowadził ich Felipe z Cusco.

– Ten oszust?...

– Tak. Uspiełem go, ale on wcześniej powiedział żołnierzom, że za tym wzgórzem obozujecie – Ruminavi wskazał na wschód.

– Opowiesz mi później o Hiszpanach – powiedział Huacso. – Co przynosisz od Tupaca Amaru?

– Wielki Inka przesyła ci, panie ten znak. – Ruminavi zdjął z palca pierścień i podał go kacykowi. Ten spojrzał na słoneczną rozetę i włożył sygnet na wskazujący palec lewej ręki, spytał:

– Czy Tupac Amaru określił czas stawienia się w Tungasuca?

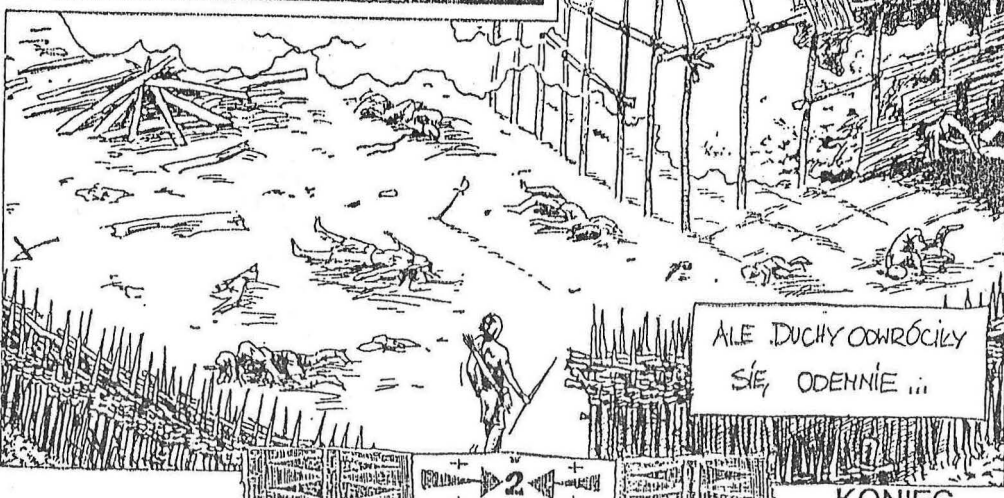
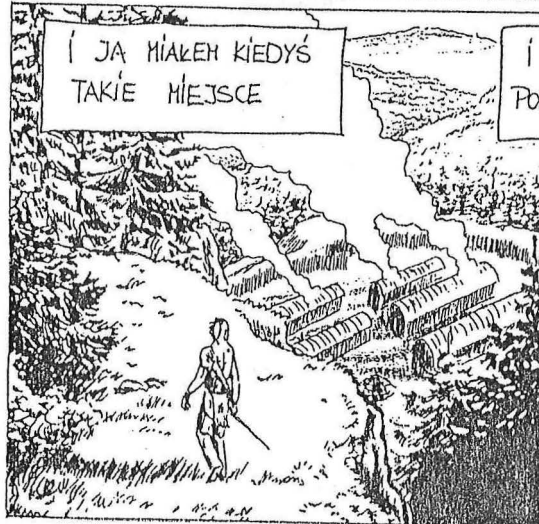
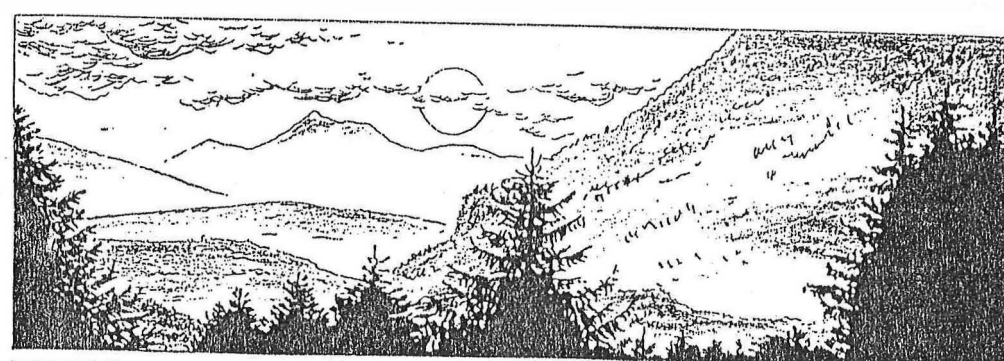
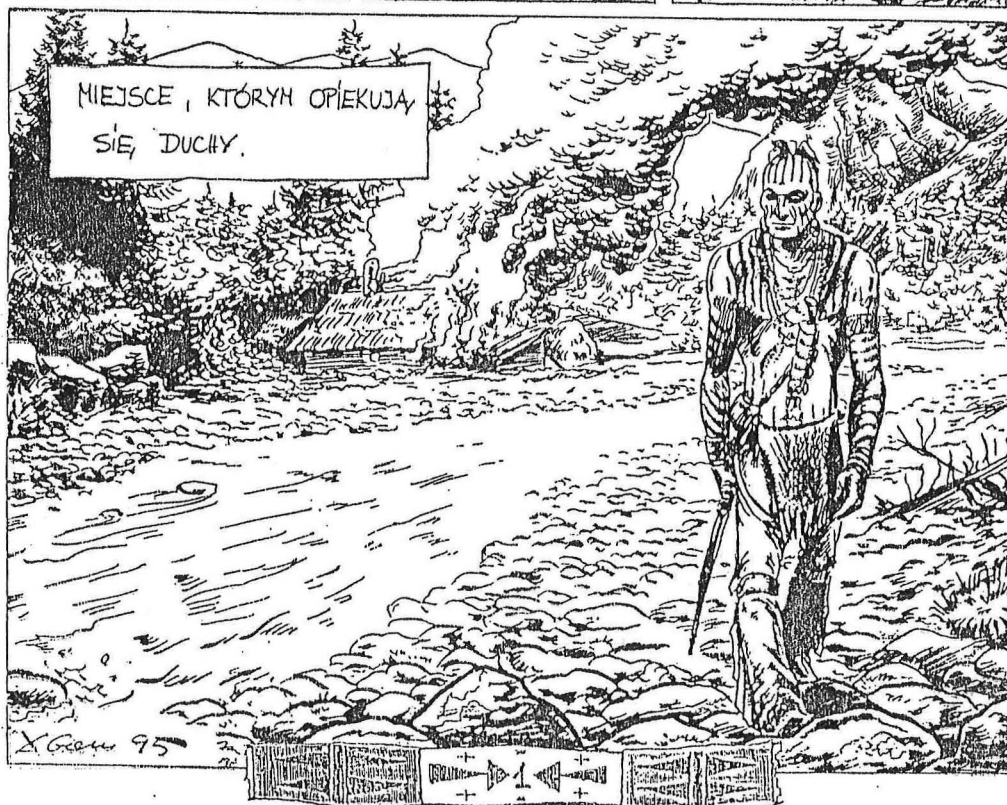
– Powiedział: jak najprędzej.

– Dobrze – odparł w zamyśleniu Huacso.

– Nasi ludzie opuszczają na wszelki wypadek tę kotlinę, zajmij się tym Yutu. Przy nim opowiesz o spotkaniu z Hiszpanami, a potem ruszymy do Tupaca Amaru.

Maria Janina Okoń
Longin Jan Okoń

(Fragment niedrukowanej jeszcze powieści historycznej *Przekleństwo Inków* o powstaniu Indian w Peru w XVIII wieku)



KONIEC



Twarzą w twarz z „Indianinem”

☞ Często na łamach „Tawacinu” piszecie różnie o Kościele i sprawach misji, raz dobrze, raz źle, ot – różne opinie, prawda? Dlatego i ja chciałbym podzielić się paroma refleksjami.

Jestem człowiekiem wierzącym, kończę w tym roku Niższe Seminarium Misjonarzy Oblatów i myślę o wyjeździe na misję do Kanady. Wiem, że sprawa Ewangelizacji, szczególnie tej minionej, może być trudna do oceny, ale postawmy się w sytuacji pierwszych misjonarzy. Zetknęli się oni z obcą sobie kulturą, obcymi zachowaniami i sposobem myślenia. My kulturę Indian podziwiamy, ekscytujemy się nią, bo dużo o niej wiemy, prześwieciliśmy ją na wskroś swym badawczym zmysłem. Ponadto nie żyjemy w XVIII czy XIX wieku i jesteśmy oddaleni tysiące kilometrów od Ameryki, więc łatwo nam krytykować misjonarzy, ponieważ nigdy nie stanęliśmy twarzą w twarz z przedstawicielem innej, nieznannej kultury, o zupełnie innej mentalności. Może wielu z nas (mianików indiańskości) ujrzawszy grupę wojowników, splewających i tańczących pieśni wojenne, uciekałoby do miasta z przekonaniem, że należy tych „dzikich diabłów” wyróżnić. Tymczasem teraz słuchamy kaset z wojennymi pieśniami i ekscytując się, pobudzamy własną wyobraźnię władząc, iż odeszło to już do przeszłości.

Misjonarze natomiast często wychodzili na spotkanie, czasami przypłacali to życiem (czasami uciekali), popełniali błędy, niszczyli napotkaną kulturę i zwyczaje, to znowu chronili, pogardzali poganami lub starali się zrozumieć i zachować cenną myśl, tradycję, sztukę plemienną. Szukali drogi, zmieniali postawy, poszukiwali sposobów kontaktu. Przecież ziemia Indian została odkryta i groziła jej ekspansja europejskiej cywilizacji; czy gdyby Kościół nie podjął się nowego wyzwania (pozostał w Europie sam dla siebie), to kultura i duch

Indian by przetrwał? A może oświeceniowi deści i ateści doszczętnie by zniszczyli i zdegradowali tradycję? Podejrzewam, że mogło być jeszcze gorzej.

Ludzie często myślą, że Kościół to dalej inkwizycja i pogarda dla pogan, a to tymczasem w wielu wypadkach inkulturacja, poszanowanie, a jeśli tak nie jest zawsze, to chyba dlatego, że jesteśmy zbyt nieudolnymi uczniami Miłości, że Europa i Biała Ameryka sama jest zbyt mało nawrócona. Jestem pewien, że jeśli ktoś nie szanuje Rumuna na ulicy, czy dającego sobie w kanał i nie kultywuje własnej religii i kultury, to jego miłość do Indian jest cukierkowata. Fajne obyczaje, stroje, a nawet filozofia, ale czy konkretny człowiek, Indianin – alkoholik, narkoman, nie wiedzący kim jest, byłby przez nas szanowany? O tym można się tylko przekonać stając z nim twarzą w twarz, a zapewniam, że można dostać obrzydzenia. No i gdzie „miłość” i fascynacja do kultury? Kieruję apel: nie krytykujmy, bo nie wiemy, jak byśmy się sami zachowywali; przemyślimy swoją indiańskości.

Jacek Lis
Szubin

Odrobina prawdy

☞ Właśnie przeczytałam swój pierwszy numer Tawacinu (nr 27/1994). To wspaniałe, że istniejecie i działa w Polsce coś takiego. Nie mogę powiedzieć, że Indianami zaczęłam się interesować tego dnia – wydaje mi się jakby moja miłość do nich była we mnie od zawsze. Bardzo niewiele wiem o Indianach i uważam, że bardzo ważne jest poznanie ich historii, ale z drugiej strony nie można się ograniczać do samej tylko historii, bo Indianie żyją również i dzisiaj. Czytając Wasze czasopismo miałam wrażenie, że te optymistyczne akcenty dotyczą przede wszystkim historii Indian, ich tradycji i kultury, a te pesymistyczne – teraźniejszości, jak chociażby



artykuł o Indianach Ameryki Południowej, czy artykuł o „chlorach”. Czytając je miałam lzy w oczach, a moje serce przepełnił wielki smutek, może też dlatego, że zdawałam sobie sprawę, że nie jestem w stanie nic zrobić. Czasami chciałabym im po prostu powiedzieć, że nigdy nie powinni się poddawać, że powinni walczyć, przynajmniej – a może zwłaszcza – o zachowanie swej tradycji, że mają w sobie wielką moc, tylko może już stracili wiarę w nią (każdy człowiek ma w sobie wielką moc) i że są o wiele wspanialszy od białych ludzi, którzy niewiedząco dlatego uważają się za najlepszych. Moim zdaniem, pod bardzo wieloma względami są chyba najgorsi, chociażby pod względem przystosowania do życia na ziemi. Wydaje mi się, że świetnie dają sobie radę w świecie, który stworzyli, pełnym hałasu, betonu i zanieczyszczeń środowiska, no i np. ognistej wody. Ale przeważnie o prawdziwym życiu nie mają zielonego pojęcia. No i wciśka ją wszystkim tę swoją cywilizację. Świetnie ujął to Andrzej Pankalla: „Zapomnieliśmy, że jako cywilizacja jesteśmy wyjątkiem, nie zasadą”.

Ostatnio bardzo wiele rozmyślałam, chyba więcej niż kiedykolwiek i nad wieloma rzeczami zaczęłam się zastanawiać, zrodziło się tyle pytań, na które nie potrafię znaleźć odpowiedzi. Na przykład, czy cywilizacja białych jest chociaż po części czymś dobrym? Jest tak wszechobecna, że inni nie mają już nawet wyboru, a może brak im sił, żeby ją odrzucić i żyć według własnych zasad. To powoli staje się chyba po prostu niemożliwe... W cywilizacji białych tak trudno o prawdziwą miłość, a tak łatwo o samotność.

Piszę ten list chyba głównie dlatego, że tyle chciałabym się dowiedzieć, mam tyle pytań... I właśnie uświadomiłam sobie, że jest ktoś, kto tak jak ja interesuje się Indianami, tylko wie na ich temat o wiele więcej.

Czytając Wasze czasopismo burzy się we mnie wiele wyobrażeń i marzeń o Indianach, na przykład myślałam, że aby choć trochę zachować swoją tradycję, to przynajmniej uczyć swe dzieci własnego języka. No cóż, rzeczywistość jest inna... Szczerze mówiąc, nie potrafię tego pojąć, jak można nie uczyć swych dzieci własnego języka...

A wracając do artykułu o „chlorach”, to nie mogę przestać o tym myśleć. Dla mnie jest to bardzo ciekawy i ważny temat. Jacek cały czas przepraszał, ale chyba tylko tych, którzy żyją marzeniami. A rzeczywistość jest właśnie taka i uważam, że bardzo dobrze, iż poruszył ten temat. Pomyślałam sobie, że lepiej poznać Indian może uda mi się odnaleźć prawdę. Chciałabym móc kiedyś powiedzieć: „wierzę w prawdę”. I myślę sobie, że aby odnaleźć w życiu prawdę, nie można żyć marzeniami, wyobrażeniami o realnym świecie, który w rzeczywistości jest zupełnie inny.

Chciałabym móc powiedzieć Jackowi co myślę, o tym wszystkim, o czym pisał, ale problem polega chyba na tym, że nie znam Indian, nie wiem, jacy są. Domyślam się tylko, że chyba z ognistą wodą (czy Indianie rzeczywiście tak mówili, czy to tylko kolejny stereotyp?) jest trochę tak jak kiedyś, gdy biali przynieśli ze sobą grype, na którą Indianie zaczęli umierać. Na wodę ognistą też są chyba trochę mniej uodpornieni. Nie wiem też, czy piją z powodów, dla których robią to ludzie niemal na całym świecie, czy mają jakieś inne, właściwe tylko sobie powody. Tak czy inaczej, skutki są takie same. Odniosłam wrażenie, że Jacek chciałby, że ma nadzieję, że oni w każdej chwili mogą zmienić swoje życie: „Ma drań na piwo i tanie wino, to dlaczego pyta się o monetę skoro dzieci głodne, a sam nie ma honoru by iść do pracy!” Chyba powinien pozbyć się złudzeń jeśli tak myśli. Tacy ludzie jak oni nie potrafią już sami zmienić swego życia, chociażby bardzo tego chcieli. Przy odrobinie dobrej woli ze swej strony



mogą się zmienić, ale tylko z pomocą innych. Ludzie myślą przeważnie, jak by się tu ich pozbyć, nie zauważają ich... (tak jest z ludźmi na całym świecie). Jacek ich zauważył, może dlatego, że są dla niego udręką, a może nie tylko...

Może (co jest mało prawdopodobne) Jacek zechciałby ze mną korespondować... Nie mam tu na myśli jakiejś wielkiej korespondencji, tylko wymianę kilku listów. Bardzo chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat. Osobiście uważam, że są to ludzie jak wszyscy inni, tak samo potrafią kochać i tak samo potrzebują miłości...

Anna Poplewska
Poznań

P.S. Pozdrowienia dla Jacka i dzięki za odrobinę prawdy. Wciąż nie przestaję myśleć o tych Indianach, może dlatego, że czasami jestem niepoprawną optymistką i wierzę, że to wszystko może się zmienić.

Amos Boone po raz trzeci

«To nie jest prawda, że nikt nie pisał do Amosa (zob. „Tawacin” nr 27/1994) – ja pisałem do niego na wiosnę 1994 roku, a jego adres znalazłem na tablicy ogłoszeń na wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Adres też przekazałem innym osobom wyrażającym chęć napisania do niego listu. Niestety, odpowiedź z USA nigdy nie nadeszła. Biorąc pod uwagę to wszystko, to Paweł trochę dramatyzuje w swoim liście (z tymi kolorowymi strojami). Wydaje mi się, że listy zaginęły po drodze lub nie dotarły do Amosa z innych przyczyn. Do tej pory wydawało mi się, że nie otrzymałem odpowiedzi dlatego, że nie jestem kobietą.

We wspomnianym ogłoszeniu (nie wiem, kto je tam zamieścił) było wyszczególnione: wiek, płeć i różne wymiary (waga, wzrost), tak jak to jest w ogłoszeniach matrymonialnych. Nie było zaś nic na temat tego,

że Amos jest wężniem. Tego dowiedziałem się dopiero z Tawacinu.

Przemysław Bartuszek
Warszawa

Od redakcji: *Przepraszamy Czytelników za nieporozumienia wokół Amosa Boone. Sprawa wydaje nam się na tyle pogmatwana i niejasna, że nie zachęcamy już do korespondencji z nim.*

Dwa wiersze Marcina Koca



Kto jeszcze?
Z podniesioną głową
Z piórem w rozwianych włosach
Kto?
Kto stanie dumny
w swej wierze
Kto powie
*One doesn't sell the earth
upon which the people walk.*



Patrzysz
na ludzi
rozrywanych
szarą
codziennością
i wiesz,
że
żaden
z nich
nie wie
co
znaczy
ność
Pióra we włosach.



Pewnej Istotce, wytrwałości Apacza i pomysłowości podczas zdawania egzaminu dojrzałości.



Zwierzienia Cienia



13. Gdybym miał wskazać dwa zagadnienia, na których nieco się znam – lub przynajmniej takie, którymi szczególnie się interesuję, to byłyby to – informatyka i Indianie. Awiaściwie – Indianie i informatyka, bo tymi pierwszymi zająłem się wiele wcześniej. Pozornie są to zainteresowania bardzo różne, ale bynajmniej nie wykluczające się wzajemnie. W pewnym sensie uzupełniają się i pozwalają zaspokajać odmienne potrzeby. I zapewne dlatego jest to zestawienie dość typowe w naszym zróżnicowanym przecięt środowisku. Ale myślę, że możliwe jest też inne wyjaśnienie. Nie wykluczone, że jedno z drugim ma sporo wspólnego. Że nie są to obszary życia ograniczone do dwóch odmiennych światów, które nigdy nie znajdują ze sobą wspólnego języka. Coraz lepiej widać, że obszary te szybko zbliżają się do siebie i zaczynają się przenikać. Że jeden coraz częściej korzysta z drugiego. I że nie jest to wcale wykorzystywanie jednostronne. Indianie coraz wobodniej poruszają się w świecie komputerów, informatycy coraz częściej odwołują się do świata Indian.

14. Nie minęło jeszcze dziesięć lat od czasu, gdy szczytem naszych marzeń w Redakcji „Tawacinu” było posiadanie maszyny do pisania i dostępu do kserografu (a w pierwszym numerze pisma były nawet fragmenty pisane ręcznie!). Jeszcze nie tak dawno temu poszukiwaliśmy chętnych do przepisywania rękopisów na maszynę i zmagaliśmy się z zawłóściami techniki drukarskiej. Dziś raczej nie wyobrażamy sobie redagowania naszego magazynu bez pomocy komputerów. Nie jest już rzeczą z pogranicza fantastyki stworzenie archiwum tekstów z „Tawacinu” dostępnych na dyskietkach (skoro w takiej formie już dziś dostarczamy je do składu) czy – w nieco odleglejszej przyszłości – przysyłanie poszczególnych informacji, lub całych numerów (łącznie z grafiką!), za pomocą modemów w sieci komputerowej. Taką alternatywę udostępni już dziś coraz więcej czasopism, łącznie z ortodoksyjnymi „Zielonymi Brygadami”. W całym połączonym komputerowo świecie (do którego należy coraz więcej krajowych uczelni, szkół i redakcji) nie ma problemu z dostępem do zasobów największych światowych agencji prasowych i bibliotek (np. Biblioteki Kongresowej w Waszyngtonie!). Nie trudno sobie wyobrazić, jak ogromne możliwości daje to nie tylko wszelkiej maści badaczom i „poszukiwaczom”, ale także nieograniczonej liczbie niezależnych i wolnych od cenzury autorów i nadawców informacji. Nie dziwi więc specjalnie, że Indianie powstają w Chiapas w kryzysowych momentach wolać ponoć porzucić swoje karabiny i saperki, niż

pozbyć się laptopów i telefaksów, za pośrednictwem których rozsyłają w świat swoje oświadczenia, odezwy i serwisy informacyjne.

15. „Mój komputer jest dla mnie środkiem komunikacji i narzędziem pracy, dzięki któremu mogę precyzować swoje pomysły. Z jego pomocą mogę robić wiele rzeczy równocześnie i oszczędzać czas. Komputer poszerza moją wiedzę i pomaga dźwigać odpowiedzialność osoby społecznie aktywnej”. Nie są to wcale słowa szefa firmy komputerowej, lecz prostej kobiety, gwatemalskiej Indianki, nagrodzonej za działania w obronie Indian, Pokojową Nagrodą Nobla („Suddeutsche Zeitung”, 23.02.1995, tłum. Lidia Wiątrowska). Rigoberta Menchu mówi: „Komputer to narzędzie, które noszę ze sobą, jakby był moją maczetą lub motyką, choć – jak każdy ludzki wynalazek – czasem mnie oszukał. Słyszę ludzi mówiących: *Rigoberta nie jest już Indianką, korzysta z komputera*. Jakże absurdalna, patriarchalna i dyskryminująca to opinia! Tak jakby sprzęt techniczny mógł decydować o tożsamości i wielkości tysiącletniej kultury”. Czyż można nie przyznać jej racji, skoro przodkowie Rigoberty, Majowie, byli wielkimi naukowcami, wynalazcami nieznanego starożytnym Europejczykom (i niezastąpionego dziś w informatyce) pojęcia zera?

16. Kilkanaście lat temu, gdy niemal wszystkim z nas Indianie kojarzyli się wyłącznie z nieskalanym wytworami „zgniłej” cywilizacji życiem w harmonii z Naturą, a praktyczny metalowy ruszt na obozowym ognisku groził jego posiadaczowi kłętą bezkompromisowych wyznawców Ścieżki Piękna, niewielu z nas słyszało coś o komputerach. Nasze spory toczyły się wokół kontrowersyjnych nauk Słonecznego Niedźwiedzia z Plemienia Niedźwiedzi, który pisał, że kroczenie duchową ścieżką nie musi oznaczać konieczności wyrzeczenia się samochodu i innych dóbr materialnych. Niemal proroczą można by nazwać wizję, zawartą w jednym z numerów ówczesnego pisma Plemienia Niedźwiedzi, „Many Smokes”. Opublikowany w nim artykuł (którego oryginału do dziś poszukuję) nosił tytuł „Okadź swój komputer” i kreślił obraz harmonijnego współistnienia światów – ducha (nie ograniczającego się przecież do Kraju Indian) i techniki (nie zastrzeżonej wszak tylko dla Białych). W takim świecie nie powinni dziwić Indianie okadzający *notebooki*, Indianiści wieszający pióra w samochodach i *sun catchery* przy monitorach, ani producenci i wynalazcy z Krzemowej Doliny, tworzący firmy „Dakota Computers”, czy „Cheyenne Software”. Dziś przychodzi nam szukać swego miejsca w takim komputerowym świecie ze starej indiańskiej wizji.

LITERATURA PIĘKNA

CZARNY ŁOŚ – *Opowieść indiańskiego szamana*. Dzieje świętego człowieka Siuksów Oglala opowiedziane poprzez Johna G. Neihardta (Plomienną Tęczę). ZYSK i S-ka Wydawnictwo. Poznań 1994, stron 220, cena 12 zł.

Polskie wydanie legendarnej już książki, będącej indiańską „biblią”. Tytułowy Czarny Łoś to wielki wizjoner i wojownik Oglalów. Brał udział w bitwie nad Little Bighorn i w masakrze Minniconjów Wielkiej Stopy nad Wounded Knee. Odwiedził Europę z teatrem Buffalo Billa. W wieku lat dziewięciu zobaczył potężną wizję, dzięki której miał ocalić naród Siuksów...

Tylko ziemia przetrwa... Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. SOK Sztum 1992, stron 140, cena 4 zł.

Tradycyjne legendy i opowieści, pieśni, sztuka krasomówcza, wspomnienia i poezja.

RZEMIOSŁO

Wiesław K. Niedźwiadek: *Indiańskie techniki zdobienia koralikami*. Tipi, Wielichowo 1992, stron 52, cena 2 zł 50 gr.

Koralikowe „zrób to sam” – bransoletki, łańcuszki, rozetki, paski itp. Techniki tkania, wyszywania i plecenia. Wzory.

HISTORIA

Maciej Zimiński: *Legenda w indiańskim pióropuszu*. Wyd. Spółdzielcze. Warszawa 1991, stron 150, cena 2 zł 90 gr.

Autor przedstawia sylwetki kilku sławnych postaci (Joseph Brant, Sitting Bull, Tecumseh, Sekwoja, Geronimo, a także Sat Okh i Karol May), podając wiele ciekawych faktów i ukazując jednocześnie jak ci ludzie wpływali na tworzenie się legendy o zdobywaniu Ameryki. Sporo fotografii, także kolorowych.

Ameryka Indiańska. Spotkanie dwóch światów. (Katalog wystawy) Poznań 1992, stron 198, cena 6 zł 90 gr.

Katalog poznańskiej wystawy z okazji 500-lecia o takim samym tytule, zawierający ponadto okolicznościowe artykuły o tubylcach obu Ameryk. Pięknie wydany na papierze kredowym i bogato ilustrowany.

Tomás Doreste: *Astronauta z Palenque*. BRAMA. Poznań 1994, str. 320, cena 5 zł 90 gr.

Pierwszy tom z cyklu *Zaginione cywilizacje* opowiada o niezwykłej kulturze Majów („najbardziej oświecony lud Ameryki”). Książka dla tych, którzy nie zadawali się prostym stwierdzeniem, że Amerykę odkrył Kolumb. Autor w czterech kolejnych częściach (*Odkrywczy. Palenque. Przodkowie. Majowie*) przedstawia hipotezy i fakty dotyczące odkrywania Ameryki, omawia zaskakujące odkrycia architektury Majów i frapujące opowieści o prekolumbijskich lotach kosmicznych.

SZAMANIZM

Nevill Drury: *Szamanizm*. Wyd. Rebis. Poznań 1994, stron 160, cena 4 zł 90 gr.

Czym jest, gdzie powstał, jak się rozprzestrzenił i jakie przechodził ewolucje. Indiańscy medicine men: Czarny Łoś, Brooke Leczący Orzeł, Słoneczny Niedźwiędz. Castaneda i Andrews – szamani czy szarlatani?

Lynn V. Andrews: *Szamanka*. Zysk i S-ka. Poznań 1995, stron 234, cena 8 zł 20 gr.

Autobiograficzna opowieść o kobiecie, która – pod wpływem rozmaitych przeżyć – postanowiła poszukać własnej tożsamości, sensu egzystencji w kulturze amerykańskich Indian. W tym celu bohaterka odbywa dramatyczną podróż w dziki świat Manitoby. Przypadkowe spotkanie prowadzi ją do Agnes Gwizdzący Łoś, która na trwałe zmieni jej życie.

Jim Berenholtz: *Podróż w cztery strony*. Mistyczna opowieść o podróży w starożytne tajemnice obu Ameryk. LIMBUS. Bydgoszcz 1994, stron 360, cena 9 zł 50 gr.

Wizjoner, muzyk obrzędowy i podróżnik, Jim Berenholtz (znany w Polsce ze swej muzyki) dzieli się z nami swym mistycznym przebudzeniem i niezwykłą wiedzą.

Pokrywamy koszty przesyłki pocztowej. Prosimy o przedpłatę przekazem lub na konto:

TIPI, Marek Maciołek
ul. Łąkowa 3
64-050 Wielichowo
GBW-BS w Wielichowie
Rk 963549-56531-2706-2

Ze względu na termin dostarczania wpłat przez bank, realizacja zamówień może trwać do 3-4 tygodni. Aby to przyspieszyć można przesłać zamówienie listem dołączając kopię przekazu.

W następnych numerach:

- Generał Crook i Szalony Koń
- Szoszon i Bannokowie na Oregońskim Szlaku
- Indiańskie gawędziarstwo
- Rozmowa z Sat Okhem
- Między cywilizacją a dzikością (dzieje Naczezów)
- Gry i zabawy
- Algonkinowie
- Rezerваты
- Hanta Yo
- Kobieta Indiańska

Uwaga: Rozszerzony został numer konta bankowego, który obecnie ma postać: **963549-56531-2706-2**. Blankiety z poprzednim numerem są dalej ważne, jednak przy korzystaniu z druków na pocztę prosimy podawać nowy numer.

W wszelkiego rodzaju korespondencji i wpłatach prosimy **zawsze** podawać swój pełny adres tzn. **imię i nazwisko, ulica i numer domu, kod pocztowy i miejscowość**. Otrzymaliśmy kilka przekazów, na których brak nazwy ulicy i nie możemy zrealizować zamówienia.

WARUNKI PRENUMERATY

TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena jednego numeru w prenumeracie wynosi razem z wysyłką 2 zł 50 gr. Prenumerata roczna wynosi 10 zł. Oferujemy możliwość obniżenia ceny prenumeraty przez wysyłkę pod jeden wspólny adres co najmniej 2 egzemplarzy TAWACINU. Udzielone bonifikaty powodują wówczas obniżenie ceny do:

ilość egzemplarzy	cena 1 egz. w złotych	cena prenumeraty 1 egz. w 1995 r.
1	2,50	10,00
2-4	2,35	9,40
5-9	2,20	8,80
od 10	2,00	8,00

Wpłaty należy kierować na konto:

MAREK MACIOŁEK, TIPI
UL. ŁĄKOWA 3
64-050 WIELICHOWO
GBW-BS W WIELICHOWIE
RK NR 963549-56531-2706-2

Prosimy dokładnie i czytelnie podawać swój adres na przekazie oraz czego dotyczy wpłata. Przy zmianie adresu prosimy o informację.

NIE PRZESYŁAĆ PIENIĘDZY W LISTACH!

